

W NUMERZE:

Moja kochana  
dentystka

Janusz Olezak

Kłopoty  
nowych  
władz  
Zamościa

Jerzy Dostatni

POMPIARZE

Maciej Podgórski

DOBRY CZŁOWIEK  
NA „BIZONIE”

Na  
gruzach

Adolf Lekki

# KAMENIA

ROK ZAŁOŻENIA 1933

LUBLIN 7 IX 1975 NR 18 (582)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

CENA 3 ZŁ

## CZECHOWICZ A „LINIA”

Tadeusz Klak

CZECHOWICZ wchodził do poezji — podobnie jak wielu jego rówieśników i poetów starszych — w zespole, wraz z grupą poetycką „Reflektor”. Jak wiadomo, była to grupa wewnętrznie zróżnicowana i ulegająca szybkiej ewolucji — od passeizmu i sympatii skamandryckich, poprzez futurizm i poetykę Nowej Sztuki dochodziła ona do konstruktywizmu pokrewnego „Zwrotnicy”.

Czechowicz był w grupie „Reflektor” poetą najbardziej świadomym o czym świadczyły jego ówczesne teksty poetyckie i wypowiedzi epistolarne — tu można powołać się choćby na cytowany często list do Konrada Bielskiego z 1925 roku. A także — mimo wiel-

kiego poczucia własnej wartości — człowiekiem wymagającym oparcia w grupie. Niewątpliwie każda zbiorowość poetów służyła mu tylko za środek, za instrument działania praktycznego. Można to ująć tak: samotna twórczość i wspólne wyjście na zewnątrz. Tym da się wytłumaczyć wiązanie się Czechowicza z innymi grupami, skłonność do nawiązywania kontaktów, zawierania umów i zmów, organizowania spotkań, zjazdów i najazdów poetyckich.

Kwestię tę prowadzą na pole zbyt rozległe, toteż tutaj ograniczyć się trzeba do stosunku Czechowicza do awangardy w okresie wychodzenia „Linii” i do samego pisma. Autor „Kamienia” — mimo nowatorskiego oblicza „Ref-

lektora” — miał dojść do awangardy o tyle utrudnione, iż w latach 1927 — 1929 zbliżył się i włączył do grup daleko od niej stojących („Meteor”) lub



Dokończenie na str. 4

„P OKOLENIE” stało się kategorią krytyczno-literacką. „Pokolenie Współczesności”, „pokolenie Orientacji”, „pokolenie 1960”, „pokolenie 1970”. Z biegiem czasu dyferencjacja pokoleniowa staje się coraz drobiazgowszą, dojdzie do tego, że autor debiutujący na wiosnę będzie należał do innego pokolenia, niż jego rówieśnik debiutujący na jesieni tego samego roku. Myślenie generacją wyeliminowało uwagę dla wartości ogólnohumanistycznych, które w tym ujęciu zachowały charakter wyłącznie nominalny. Mało. Sama tradycja uchodzi za coś, co traci myślną, a nawet przydaje się jako przedmiot zabawy. Bo niczym innym niż

PROTEST  
NA  
„TAK”

zabawą jest, że w prozie (w felietonach) zdarzają się stylizacje na język Oświecenia, że w poezji Jarosław Marek Rymkiewicz reanimuje poetykę klasykistyczną, a Stanisław Grochowiak deklaruje upodobanie do barokowego wiersza. Ale nie chodzi o przykłady autorów starszych. Zostały przytoczone tylko dla wyraźniejszej egzemplifikacji zjawiska, jako że mamy tu do czynienia z obszerniejszym i jednoznacznie ukształtowanym dorobkiem. Młodzi i najmłodszy do tego stopnia zatracili perspektywę tradycji, że za skończone i przeżyte uważają to, co działo się pięć lat temu. Literackie „wczoraj” jest dla nich nieomal „wczoraj” kalendarzowym.

Rzecz naturalna, że uwaga dla tradycji nie ma nie wspólnego z wezwaniem do tradycjonalizmu. Chodzi nie o dorobek, sumę dzieł, pełny katalog, ale o probierz, element orientacji, wniosek. Nie żeby młody prozaik pisząc opowiadanie pamiętał o „Opowiesiach niepokojących” Conrada, o nowelach Prusa. Ale ostatecznie to, co nazywamy problemem, nie jest stoikiem konserw, których użyteczność jest ograniczona w czasie, bo uzależniona od daty produkcji.

Młoda literatura jest „pokoleniowo autotematyczna”. Pisze o swojej gene-

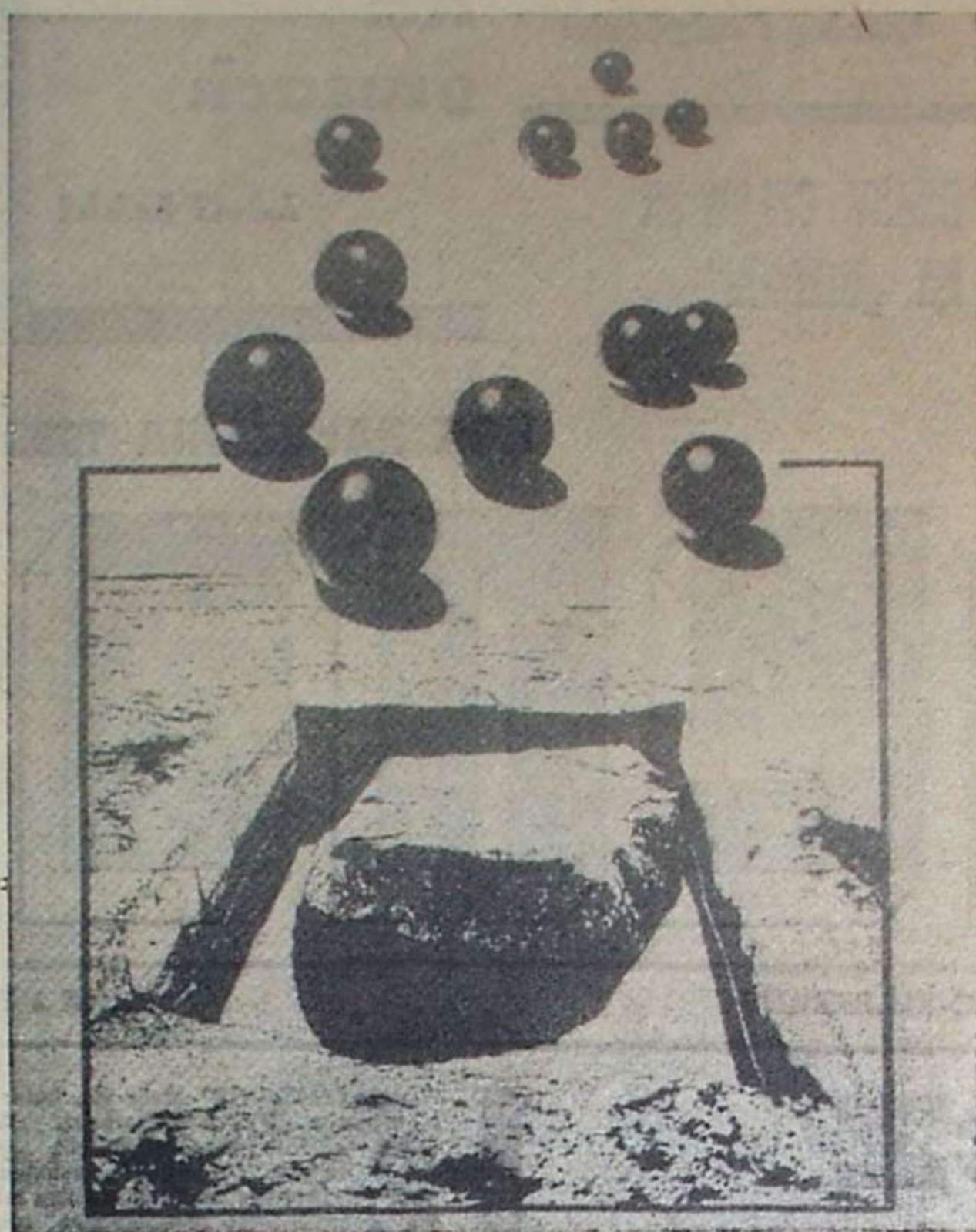
Dokończenie na str. 12.



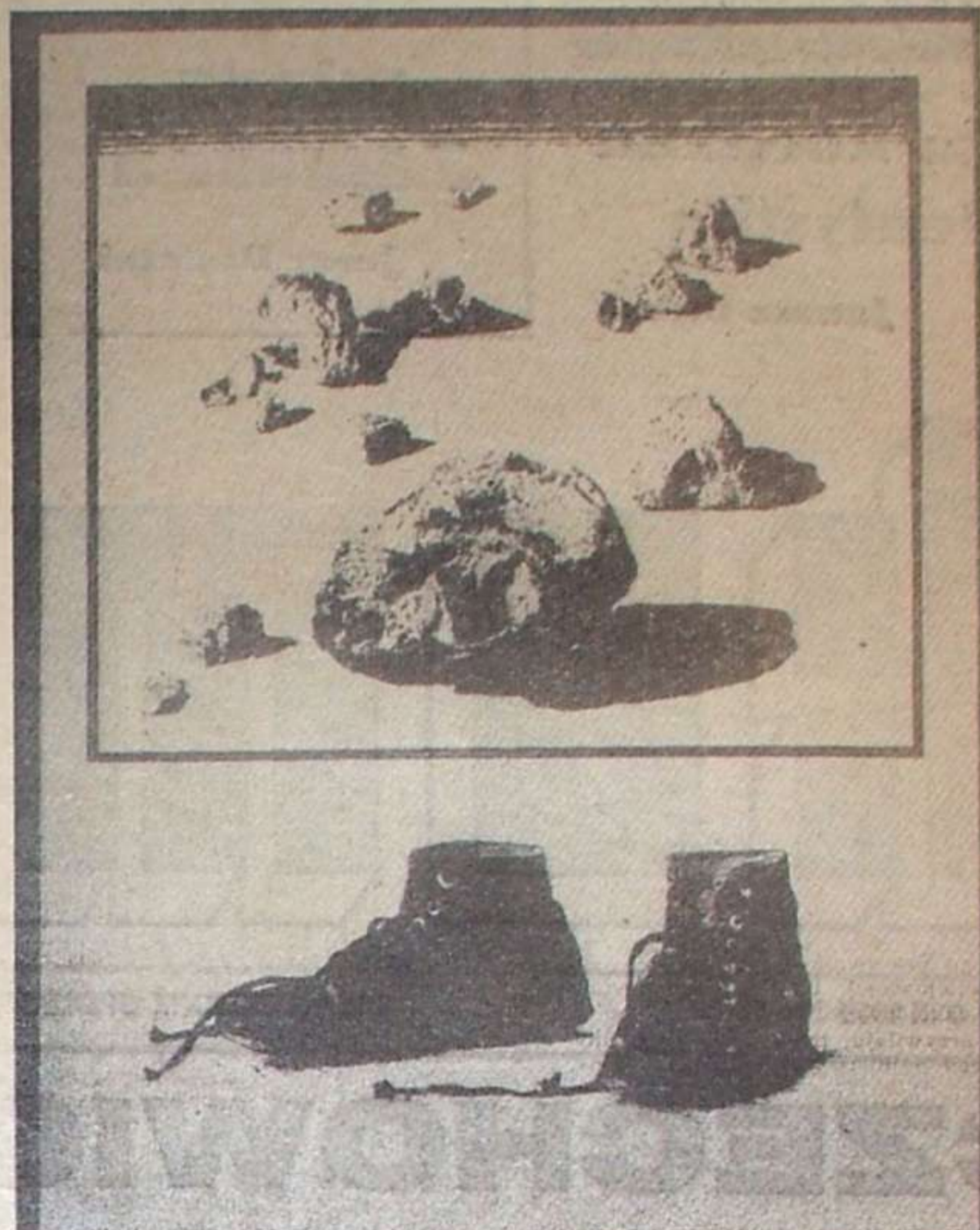
Już koniec lata,

W. Stępień

# JERZY MAZUS — grafika z sierpniowej wystawy artysty w BWA



Przekształcenia



Odyseja

## W którym żyjemy

### AUTOSTOPOWICZKI

Na granicy belgijsko-francuskiej wiele młodych dziewcząt czeka na okazję, aby zabrać się autostopem do południowej Francji. Oto jak wyglądają te dziewczęta według karykatury, zamieszczonej w



„Paris-Match”. Dodajmy, że najbliższą jest do Lyonu, najdalej zaś do Nicei, co w widoczny sposób wpływa na „ubiór” autostopowiczek.

### ELEKTRONIKA

W Japonii otwarto pierwszy supermarket elektroniczny. Nie chodzi tu o sprzedaż wyrobów elektronicznych, ale o urządzenia, zastosowane w tym olbrzymim magazynie. Otóż każdy klient, wchodzący do supermarketu, otrzymuje przy wejściu kartonik z taśmą magnetyczną i wydrukowanym numerem. Wewnątrz magazynu wszystkie towary znajdują się w małych pojemnikach przezroczystych. Chcąc coś kupić, klient musi najpierw włożyć kartonik do odpowiedniego otworu, a wewnątrz mała drukarka wybijie cenę. Dopiero potem otwiera się pojemnik, klient odbiera towar, pojemnik zamyka się i specjalna taśma znów podsuwa towar. Klient przy wyjściu musi przy

kasie okazać kartonik, na którym są kolejno zarejestrowane wszystkie jego zakupy.

Zdaniem właściciela tego supermarketu zainstalowane urządzenia zapobiegają tak liczny kradzieżom towarów. W Japonii bowiem, podobnie jak w krajach zachodnioeuropejskich, straty z tytułu kradzieży stanowią 0,5–2 proc. całych obrotów. Teraz obsługa jest mniejsza, klient przy kasie czeka znacznie krócej, gdyż ostateczny rachunek wystawia mu komputer, natomiast kasjerka tylko inkasuje pieniądze, nie przeglądając nawet towarów. Tyle, że klient jest w dużej części pozbawiony wyboru, bo np. musi kupić kurczaka podanego kolejno przez maszynę — albo zrezygnować z zakupu.

Jeden z amerykańskich hoteli Hiltona zastosował elektronikę do walki z szerzącą się plagą „szczerów hotelowych”, którzy dotychczas potrafili dorabiać klucze do najbardziej wymyślnych zamków.

Otóż gość hotelowy zamiast klucza otrzymuje metalową plakietkę z numerem pokoju i wmontowaną taśmą magnetyczną. Recepcjonista notuje na tej taśmie, według dyktanda wynajmującego pokój, kod, złożony z cyfr, liter lub kresek i kropek. Za naciśnięciem guzika w rozdzielni kod zostaje natychmiast przeniesiony do zamka drzwi w wynajmowanym pokoju. I tylko tą plakietką będzie można zamiast klucza — otworzyć pokój. Jeżeli klient opuści pokój wychodząc do miasta, po powrocie może zafundować sobie nowy kod, kasując poprzedni.

### OSZCZĘDZAJCIE

Kryzys ekonomiczny godzi nie tylko w kieszeń Anglików, ale także w uświęconą tradycję obyczaju. Befszytki mocno podrożały i je się ich coraz mniej, zresztą często po prostu ich brakuje. Z zrynką wprowadzić nie ma jeszcze większych kłopotów, ale niemal permanentnie brakuje jajek i znów trzeba zrezygnować z tradycyjnego dania. Powszechne dawniej jedzenie czekolady lub biskwitów pomig-

dzy posiłkami jest ze względów oszczędnościowych coraz rzadsze.

Ale podobno najbardziej zbulwersowała przywiązanych do tradycji Anglików akcja oszczędzania wody. Otóż dostarczające wody przedsiębiorstwa wzywają, aby małżeństwa kąpały się pod natryskami jednocześnie. Dla pruderyjnych Anglików, którzy z reguły mają sypialnie osobne, oznacza to publiczne nawoływanie do niedopuszczalnej swobody obyczajowej. Miary oburzenia dopełnił fakt wydania w setkach tysięcy egzemplarzy kolorowych plakatów, ukazujących młode małżeństwo kąpiące się wspólnie pod jednym prysznicem. Plakaty te uważane są za wysoce niemoralne.

### FOKA I DZIEWCZYNA

Jedną z wielkich urlopowych atrakcji nad rzeką Garonne we Francji stała się morska foka. Coś się jej widocznie pomylilo i popłynęła w górę rzeki aż do miasta Agen i tam się zadowoliła — 200 km od ujścia Garony do Atlantyku. Jest wesoła, bawi się z dziećmi, stała się ulubieńcem stałych mieszkańców i urlopowiczów.

Ale pewna mieszkająca nad rzeką pani, przed której domem gromadzą się ciekawki, ogłosiła w prasie, że wypłaci tysiąc franków nagrody temu, kto dostarczy jej ową fokę żywą. Za dwa dni jakiś obrońca zwierząt ogłosił w tym samym dzienniku, że zapłaci dwa tysiące franków za dostarczenie mu żywym ową pani. Do żadnej z tych transakcji jeszcze nie doszło, ale burmistrz na wszelki wypadek polecił dowódcy straży pożarnej rozstoczenie stałej opieki nad foką.

W samym Paryżu tymczasem w sierpniu było bardzo pusto, nawet na pływalskich. W tej sytuacji właściciel pływalski Deligny zaangażował „aktorkę” ze słynnego Crazy Horse Saloon — Lindę Picadilly. Linda normalnie występuje w programie strip-tease, natomiast na pływalski „tylko” w stroju topless. Mimo to frekwencja była bardzo słaba.

### FOTOGRAFIE

Fotografowanie stało się dziś zajęciem bardzo powszechnym. Każdy posiada w domu mniejszy lub większy zbiór fotografii, każdy właściciel aparatu fotograficznego uważa się niemal na artystę.

Tymczasem rzeczywistość artystyczna fotografia robi na świecie coraz większą karierę. Narodziła się nawet nowa gałąź handlu — kliszami fotograficznymi, na których widnieją szczególnie piękne zdjęcia. 19 marca w Londynie odbyła się licytacja klisz znanych fotografików współczesnych. Obrót wyniósł ponad 10 tys. funtów, cena pojedynczej kliszy dochodziła do 300 funtów szterlingów. Ale i stare fotografie, których klisze już nie istnieją, stają się bardzo drogie. Album niejakej Julii Cameron, znanej fotografiki z czasów wiktoriańskich, sprzedano za 40 tys. funtów.

### ŚMIERĆ WIĄZÓW

W Paryżu rośnie około 400 tys. drzew. Mimo to w mieście nie jest tak zielono, jak mogłoby się wydawać, ponieważ tylko w lasku Vincennes na wschodnim skraju miasta jest 135 tys. drzew, a w lasku Boulogne 115 tys., w ogrodach i na cmentarzach 50 tys. Tak więc na ulice pozostaje tylko 100 tys. drzew.

Wszystkie te drzewa są starannie pielęgnowane i dzięki temu jakoś znoszą nie najlepsze przecież warunki naturalne. Nieuchronne zniszczenie zagraża tylko wiązom, które okazały się szczególnie wrażliwe na pewną chorobę. Naukowcy niemal od pół wieku próbują walczyć z tym, co najpierw nazywano chorobą holenderską, dziś bardziej uczenie: ceratostomella. Choroba polega na tym, że najpierw opadają liście, potem wędna małe gałązki, następnie duże gałęzie, wreszcie same pnie. Wiadomo, że przyczyną jest jakiś grzyb, rozwijający się w pniach, który kolejno zatyka wszystkie drogi, którymi wędrują wilgoć. Nie wiadomo jednak, jak walczyć z tym przybkiem.

W 1950 roku w Paryżu rosło jeszcze 30 tys. wiązów, dziś zaledwie 15 tys. Tak więc na słynnych Polach Marsowych i w lasku Vincennes, gdzie wiązów było szczególnie dużo, ukazują się coraz większe lisy.

**DRUGA ROCZNICA  
SMIERCI  
KAZIMIERZA ANDRZEJA  
JAWORSKIEGO**

6 września, mija druga rocznica śmierci Kazimierza Andrzeja Jaworskiego, poety, pedagoga, założyciela „Kamena”. Przpominamy, wyjęte z XII tomu „Pism” K. A. Jaworskiego, dwa wiersze powstałe w ostatnim okresie życia poety.

**ELEGIA**

Dzisiaj słońce od rana. Wczoraj była mżawka,  
Pogoda w październiku wciąż się przekomarza.  
Lecz z każdym dniem silniejsza jest jesieni dawka,  
co mnie tylko przynębia, gdy innych rozmarza.



Złota czerwień na drzewach to symbol agonii.  
W parku czuję pod stopą szelest martwych liści.  
A potem dni szarugi i dopiero po nich  
śnieg, co może czerni myśli bielą swą oczyścić.

Łatwo błęd uchwycić na papierze,  
kiedy oko już nabierze wprawy —  
ot, ołówek się do ręki bierze:  
wyprostuje jak najkrzywsze sprawy.

Ten wiersz jest staroświecki, pachnie naftaliną  
jak ten, co teraz kreśli niedołęzne słowa.  
Skąd ten nastrój, ten smutek? Ciemne chmury  
płyną.  
Wiatr się zerwał. I słońce znów się chowa.

Lecz gdy myślisz o życia korekcie,  
jakeż trudno tu o jakieś zmiany:  
Choć spróbujesz, w końcowym efekcie  
korektorka — śmierć krzyżuje sprawy.

**R**ZADKO kto godzi się spokojnie czekać w kolejce na przydział mieszkania. Najczęściej ludzie używają najróżniejszych sposobów, aby przyspieszyć otrzymanie tego przydziału: jakieś dodatkowe papierki, niespodziewana ciąża, chody, próba przemianowania ordynarnej łapówki w pięknie wyglądający prezent...

Institucje też chwytają się różnych sposobów, aby tylko otrzymać dla swojego pracownika mieszkanie z uprzywilejowanej listy tzw. budownictwa zakładowego. Często skorzysta z tego przywileju, trzeba mieć już, lub w ciągu najbliższych pięciu lat, odpowiednią sumę na zakładowym funduszu mieszkaniowym, aby wpłacić za pracownika odpowiedni wkład w spółdzielni mieszkaniowej. A gdy się takiej sumy nie ma, ani w ciągu pięciu lat mieć nie będzie? Też jest sposób.

Jak się zaczęło, trudno dziś odtworzyć. W każdym razie faktem jest, że Dyrekcja Okręgowa Kolei Państwowych w Lublinie zdołała zarezerwować sobie w spółdzielni mieszkaniowej im. Łukasieńskiego w Zamościu pewną liczbę mieszkań zakładowych. Przyszła jednak chwila, gdy trzeba było spółdzielni za te mieszkania, najczęściej już zajęte, zapłacić. Ale ponieważ w kolejowej kasie na odpowiednim koncie pieniędzy nie było, nawet widoków na nie też nie, DOKP w dniu 11 grudnia 1973 roku informuje spółdzielnię, że obecnie nie posiada dostatecznych środków zakładowego funduszu mieszkaniowego dla dokonania przesłanego nam rozliczenia na ogólną sumę 544 160 zł, ani też nie może zaciągnąć na ww. cel kredytu bankowego, który mógłby zostać splanowany w ciągu 5 lat ze środków ZFM... W związku z powyższym DOKP Lublin zwraca załączone rozliczenie bez realizacji, z prośbą o wyjednanie na ten cel kredytu długoterminowego w Oddziale Banku finansującym tamt. Spółdzielnię.

List powyższy podpisał zastępca dyrektora DOKP inż. Marian Cielecki, aby zaś jego treści nie można było podważyć, na odwrocie III Oddział Narodowego Banku Polskiego w Lublinie stwierdzał, że istotnie pieniądze na koncie zakładowego funduszu mieszkaniowego nie ma i nie będzie, co podpisał naczelnik wydziału mgr Eugenia Kowalczyk.

Trudno przypuścić, aby lubelska DOKP — zresztą nie tylko ona tak postępowała — nie zdawała sobie sprawy od początku, od chwili podjęcia rozmów z Oddziałem Centralnego Związku Spółdzielni Mieszkaniowych lub samą spółdzielnią, że zawarcie umowy na mieszkania w ramach uprzywilejowanego budownictwa zakładowego jest w tej sytuacji — bardzo delikatnie mówiąc — objęciem istniejących przepisów. Może da się to nazwać wykorzystaniem luki w tychże przepisach, wszakże nie ulega wątpliwości, że całe to postępowanie było sprzeczne z duchem owych przepisów oraz intencją prawodawcy. Wysłanie wniosku, kto na tym nieprawidłowym działaniu stracił, a kto zyskał, nie narzuca trudności. I kto powinien być ukarany a nie zostal — też nie.

Ale to ma być artykuł o nowym budownictwie mieszkaniowym w wojewódzkim już Zamościu, sprawa DOKP jest tylko przykładem, jak ciężka jest tam sytuacja z mieszkaniami.

W Zamościu od lat istnieją dwie spółdzielnie i wszystko było w porządku, póki jedna była spółdzielnią

lokatorską, druga własnościową. Ale od przeszło roku ta pierwsza, im. Łukasieńskiego, jest już lokatorsko-własnościową i zdrowy rozsądek powiada, że należałoby obie połączyć. Zwłaszcza że „Wspólnota”, spółdzielnia własnościowa, w bieżącej pięcioletniej zbudowała wszystkiego 90 mieszkań, jeden budynek, chociaż na początku mówiło się o 350 mieszkaniach, potem zaś ustalono plan na 160. Ale jaki wykonawca liczy się z takim małym inwestorem? Są więc nadal dwa lokale biurowe, dwa zarządy, dwa obowiązujące plany i dwa projekty, dwie drogi działania... Obie spółdzielnie razem otrzymają w

nego terenu nie bardzo można się dopatrzeć. Wprawdzie lubelski „Inwestprojekt” przystał właśnie „Zestawienie kosztów przedsięwzięcia”, czyli budowy dwóch nowych osiedli przy ul. Długiej, ale po pierwsze — jest to dopiero projekt koncepcyjny, po drugie — wszystko wyliczono na podstawie wskaźników, więc właściwie nic dokładniejszego nie wiadomo.

Natomiast wiadomo na pewno, że już w tym roku zabraknie ciepła dla tych domów, które zostaną ukończone. Optymiści powiadają, że jeżeli z istniejących kotłowni wyciąśnie się o-

prowadzono rozmowy z ministrami i wiceministrami różnych resortów, zwrócono się do ludności z apelem o prace społeczne. Pierwsze wyniki już są. Dla nowego osiedla powoła się pracownię, która będzie działała na miejscu, już rozpoczęto kładzenie kanalizacji. Miejscowy oddział Przedsiębiorstwa Konserwacji Zabytków od 1 stycznia zostanie podporządkowany centrali warszawskiej, a stan zatrudnienia w nim zwiększony do 160 ludzi. Otrzymało dodatkowo pewne materiały budowlane, kadry inżynierskiej przyniesiono pięć mieszkań.

Od października powstaje Wojewódzka Dyrekcja Rozbudowy Miast i Osiedli Wiejskich, w skład której wejdzie dotychczasowa Dyrekcja Renowacji Zabytkowego Zespołu. Gdy wyrażam obawę, że w ten sposób renowacja może stać się jedną z czterech czy sześciu spraw, którymi zajmować się będzie WDRMIOW (co za straszny skrót!) — słyszę w odpowiedzi, że renowacja musi być połączona z nowym budownictwem, bo w bardzo dużym stopniu jedno zależy od drugiego, a ponadto renowacja znajduje się pod bezpośrednim nadzorem wojewody i resortowego wice-wojewody, a nie prezydenta miasta, którego możliwości są przecież dużo mniejsze. Ano zobaczymy. Jak na razie okazuje się, że mieszkańcy Zamościa nie tylko z życzliwością, ale i pełnym poparciem przychodzą do swoich władz wojewódzkich. W jednym tylko lipcu w robotach o charakterze komunalnym zrobiono więcej, niż w całym roku 1974 i to głównie dzięki czynom społecznym: amfiteatr, przeniesiony wreszcie z granicy zabytkowej części miasta dworzec PKS, przebudowa kilku ulic...

Po południu jeżdżą po nowych i chodzą po starych częściach miasta. Do zabytkowego centrum zabroniono już wjazdu samochodom osobowym i ciężarowym z wyjątkiem zaopatrzenia, przed ratuszem nie widać nawet służbowych wozów, co jest rzeczą słuszną, bo władza powinna dawać przykład. Fatalna jest natomiast nawierzchnia pomiędzy obu rondami, chociaż to jedna z głównych ulic Zamościa i kawałek międzynarodowej trasy E-81. Przy ul. Wojska Polskiego trzy budynki zbudowane dokładnie 18 lat temu do dziś nie są otynkowane, podobnie jak kilka bloków w ostatniej części osiedla im. Orzeszkowej. Te ostatnie ukończono ostatniej zimy, połowę jednego bloku nawet otynkowano, ale potem rusztownia gdzieś zniknęła i stan obecny wielu ludzi uważa za stan normalny. Chociaż lekkie betony chętnie chłoną wodę i przetrwarzają ją na wilgoć w mieszkaniach. Warto też bliżej przyjrzeć się płytom z miejscowej fabryki mebli. Jedni powiadają, że ich wyrób i montaż są niedbale, inni, że to formy już się zużyły i trzeba sprawić nowe.

W „Ratuszowej” kremy i ciastka coraz mniejsze, a kawa daleka od tej, jaką powinna dawać przyzwyczajona kawiarnia. W restauracji „Hetmańska” jedzenie bardzo dobre, usługa miła, chociaż wszystkie ceny niepotrzebnie grawitują wokół najwyższych dopuszczalnych marż. A najgorsze, że liczne wycieczki zamawiają całe sale i potem spóźniają się godzinę, półtorej. Nie ponoszą za to żadnej kary, a dla indywidualnych konsumentów brak miejsc.

## Kłopoty nowych władz Zamościa

Jerzy Dostatni

bieżącej pięcioletce 844 mieszkania, innej formy budownictwa 617, razem 1461 mieszkań, co daje niezbyt przeciętną wysokość przeciętną — 292 mieszkania rocznie, z czego do dyspozycji władz pozostaje około 250.

— W związku z utworzeniem województwa potrzeby jednostek organizacyjnych administracji i budownictwa wynoszą już w tej chwili 575 mieszkań, dla utrzymania właściwego tempa rewaloryzacji zabytkowej części miasta na przekwaterowania powinno się już mieć 300 mieszkań — powiada wicewojewoda mgr Stanisław Juraszek. Te potrzeby muszą być zaliczone w pierwszej kolejności, ale to spowoduje, że czas wyczekiwania w spółdzielniach dla zwykłych członków wydłuży się do lat 12. Aby utrzymać się we wskaźnikach ogólnopolskich, powinniśmy w przyszłej pięcioletce zbudować około sześciu tysięcy mieszkań.

Oznaczałoby to wzrost czterokrotny, osiągnięcie takiej dynamiki nie wydaje się możliwe. Prawda, że Zamość jest jedynym miastem na terenie dawnego województwa lubelskiego, które posiada już fabrykę domów, ale prawdą też jest, że owa fabryka do dnia dzisiejszego nie osiągnęła jeszcze pełnej mocy produkcyjnej i nikt nie wie, kiedy ją osiągnie.

Niezbyt jasno też rysują się plany, co i gdzie budować. Osiedle „Planty” jest skończony, na osiedlu im. Orzeszkowej 12 budynków również, trzy są pod dachem, w trzech „zrobiono stany zerowe”, ostatnich czterech nie rozpoczęto, bo na placu jeszcze mieszka kilkanaście rodzin. Dwa projektowane budynki przy ul. Lubelskiej to właściwie żaden interes, bo na przekwaterowanie trzeba będzie oddać prawie tyle mieszkań, ile się uzyska. Rada narodowa kończy 90-mieszkaniowy budynek i na tym wyczerpie się jej działalność budowlano-mieszkaniowa. A nowej dokumentacji i uzbrojo-

stałnie poty, a zima nie będzie zbyt surowa — jakoś da się przetrwać do wiosny. Inni twierdzą stanowczo, że albo trzeba będzie zamknąć na cztery spusty wybudowane, a nie zamieszkałe domy, albo skorzystać z istniejących przepisów i ograniczyć produkcję w fabryce mebli, która część swego ciepła już oddaje miastu. Ale kto poweźmie decyzję ograniczenia produkcji tylko do jednej, dziennej zmiany?

A co będzie w roku przyszłym? Ta nowa ciepłownia w Zamościu przeszła już niemal do mitologii. Jest dokumentacja, są pieniądze, zamówiono kotły i inne urządzenia — ale wciąż nie ma wykonawcy. Na miejscu takiego nie ma i nie będzie, zaś lubelska „przemysłówka”, jedyny możliwy kontrahent, ma tyle pilnych zleceń, że jej tzw. portfel dawno popękał w różne strony. Zresztą powiada, że może budować i kotłownię w Zamościu, nawet jej to na rękę, bo to zaraz obok innej dużej roboty, „Metaplastu”, ale co skądś? — pyta. I na to wciąż brak odpowiedzi. Sprawa zawędrowała już na szczebel władz centralnych i trzeba mieć nadzieję, że lada tydzień ktoś rozetnie ten gordyjski węzeł. Ale nawet w najlepszym przypadku przez dwie zimy będą poważne kłopoty. Nicco mniejsze z wodą, której już dzisiaj także zaczyna brakować, a budowa nowego ujęcia rozpocznie się na Łabuńce dopiero w przyszłym roku, co z kolei zapowiada okresowe posuchy w wielu kranach.

Na pytania w tych i innych sprawach wicewojewoda Juraszek odpowiada, że władze wojewódzkie zdają sobie sprawę z trudności, jakie przed nimi się wyłoniły i już rozpoczęły różne działania. Na wspólnym posiedzeniu sekretariatu KW i władz wojewódzkich rozpatrzono sprawę koncepcyjnego zagospodarowania terenu przy ul. Długiej, oceniono stan rewaloryzacji starego Zamościa, prze-

# CZECHOWICZ A „LINIA”



Fot. J. Trembecki

Dokończenie ze str. 1

wobec niej przeciwnych („Kwadryga”) — do tej ostatniej zgłaszał akces publicznie. Poza tym regularne publikacje wierszy w „Drodze” Wilama Horzycy sytuowało go dosyć wyraźnie, przynajmniej pod względem sympatii ideowych. Za przełomowy moment w stosunku do awangardy można uznać spotkanie z Brzękowskim w Paryżu i druk wiersza „Śmierć” w redagowanym przez Brzękowskiego awangardowym czasopiśmie „L'Art Contemporain”. Toteż gdy awangarda krakowska zaczęła myśleć o nowym czasopiśmie, Czechowicz znalazł się natychmiast na liście jego przyszłych współpracowników, a wkrótce i współtwórców.

Sprawa niedoszłego udziału Czechowicza w „Linii” wymaga ponownego i źródłowego przedstawienia, jest to bowiem zbyt ważny moment w historii ruchu awangardowego. Jego uczestnictwo (głównie listowne) w tworzeniu się koncepcji pisma i projektowane wejście do redakcji pozwalają inaczej spojrzeć na stosunek, jaki łączył awangardę krakowską z tzw. awangardą lubelską. Więcej: pozwala na poszerzenie formuły awangardy roku 1930.

Kiedy bowiem krakowski ośrodek awangardy w osobach Brzękowskiego, Kurka i Przybosia podjął pracę nad stworzeniem organu nowatorów, Czechowicz brany był od początku pod uwagę jako stały współpracownik. Świadczy o tym między innymi list Juliana Przybosia do Jalu Kurka z jesieni 1930 r.: *Od 1 stycznia 31 r. wydajemy miesięcznik pod nazwą „a. r” — regularnie wychodzący, bądź w Paryżu, bądź w Krakowie (załatwienie od miejsca pobytu Brzękowskiego). Miesięcznik ten skupiać będzie nowatorów polskich (to najszerszym zakresie, od Witkiewicza do Czechowicza) i zagranicznych.*

Rolę pośrednika wzięł na siebie Jan Brzękowski, który zresztą z autorem „Kamienia” pozostawał od roku w kontakcie. Kiedy przyjechał na wakacje do kraju w 1930 r., postanowił przyspieszyć prace nad sfinalizowaniem projektu pisma i wtedy też napisał do Czechowicza, proponując mu przystąpienie do spółki redakcyjnej. Reakcją jego zawarł Brzękowski w jednym z listów do Przybosia: *Pisał do mnie Czechowicz, że chętnie zjechałby się ze mną i z Tobą w Warszawie w jakąś niedzielę. Gdybyś więc mógł dostać jakiś dzień urlopu w drugiej połowie września, to moglibyśmy zobaczyć się ze Strzebińskim i z Czechowiczem. Jednak ani to, ani projektowane spotkanie w Krakowie nie doszło w tym gronie do skutku.*

Inny list Brzękowskiego do Przybosia świadczy, iż nawiązywał on do swoich koncepcji sprzed paru lat, bowiem w projektowanym spotkaniu miał uczestniczyć także Wacław Gralewski, dawny wydawca „Reflektora” i adresat wspólnego listu Stanisława Ignacego Witkiewicza i Jana Brzękowskiego z czerwca 1925 roku, w którym proponowali scalenie poczyniła wszystkich ośrodków i pism nowej sztuki w jeden silny organizm. Włączenie także Gralewskiego można było rozumieć jako zbliżenie dwóch środowisk: awangardy krakowskiej i „Reflektora”, bowiem nazwa ta znajdowała się jeszcze w obiegu, określając istniejącą w świadomości piszących grupę literacką. Później Gralewski, zgodnie z sugestią Czechowicza, został wyłączony, wskutek czego Brzękowski odstąpił od swej sugestii i zrezygnował z projektu wydawania tygodnika.

Odpowiedź na propozycję Brzękowskiego przesłał Czechowicz ostatecznie na ręce Kurka; deklarował w niej swą zgodę (i entuzjazm) i płacenie ustalonej składki w wysokości 50 zł miesięcznie. Nieco później napisał do Czechowicza w tej sprawie Przyboś, którego lubelski poeta także zapewniał o entuzjasmie dla imprezy: *pojawiło się jednak pewne „ale”: otóż Czechowicz — nie cofając złożonej wcześniej deklaracji finansowej — donosił Przybosiu, że nie może ze względu na trudności wpłacać swej raty regularnie. Ta sprawa stała się później głównym nieporozumieniem, w którego wyniku Czechowicz znalazł się ostatecznie poza obrębem „Linii”.*

Zapraszając Czechowicza — Brzękowski i Przyboś brali pod uwagę nie tylko jego możliwości jako płatnika na rzecz pisma, lecz osiągniętą już pozycję wybitnego poety swego pokolenia i rzecznika nowatorstwa artystycznego w sztuce poetyckiej, poświadczoną zbiorami „Kamień” i „dzień jak codzień”. Poza tym dzięki zjednaniu dla pisma poety spoza Krakowa awangarda poszerzyła

terytorialny stan posiadania. I jeszcze jeden ważny argument, którym posłużył się Brzękowski w liście z 7.X.1930 do Przybosia: *Czechowicz został naczelnym redaktorem „Ziemi Lubelskiej” i lansuje awangardę. Przedrukowuje Twe wiersze i Kurka oraz mój „Kilometr”. W osobie Czechowicza zyskiwało się więc człowieka o sporych możliwościach oddziaływania na rzecz awangardy. Co prawda w „Ziemi Lubelskiej” Czechowicz przedrukowywał wiersze dawniejsze, „państwotwórcze” (bo w ramach kampanii przedwyborczej), ale przedruk „Kilometra” z „L'Art Contemporain” upowszechniał ten tekst i pozostał do dziś jedyną jego krajową publikacją. Zredagował też Czechowicz kilka kolumn poetyckich, wśród nich poświęconą „Reflektorowi”, poezji pracy (w której zamieścił także wiersze Przybosia) Apollinaire'owi i — przyszło rozstanie z „Ziemią Lubelską”.*

Za udziałem Czechowicza w „Linii” wypowiedzieli się jej wszyscy współtwórcy, a jednak nie znalazł się w niej ani jeden tekst lubelskiego poety. Dlaczego? Czechowicz próbował wyjaśnić to sobie wyłącznie motywami finansowymi. Ale w tym miejscu trzeba powołać się na jego list do Jalu Kurka, w którym pisał: *Mam do Pana, a właściwie do Panów, drobny żal: Przyboś napisał do mnie, abym wysłał do Stuksa (właściciel księgarni w Cieszynie, w której Przyboś organizował skład wydawnictw awangardowych) mój tom wierszy „Kamień”. Wysłałem 30 egz. i w rezultacie na ostatniej stronie „Linii” widzę, że nie zamieściliście mnie w spisie księzek awangardy. Dlaczego? — Pytanie to jest o tyle retoryczne, że połowę odpowiedzi na nie mam. Oto Brzękowski korespondował ze mną często, dopóki sądził, że dam trochę pieniędzy na „Linie” — miałem współpracować. Tymczasem byłem kilka miesięcy bez pracy, a obecnie zarabiam 180 zł. miesięcznie i pieniędzy dać nie mogę. Widocznie Brzękowski uznał, że jestem za mało „awangardowy”... skoro nie daje pieniędzy. Rozumiem, że chodziło mu przede wszystkim o pismo. Miał rację. Ale w takim razie inaczej należało postawić sprawę ze mną — po ludzku. Zreszta Pan, przypuszczam, dobrze wie jak było (list z 30.V.1931).*

Trzeba przyznać rację Brzękowskiemu, który we wspomnieniach napisał, iż pretensje Czechowicza pod jego adresem wynikały z nieporozumienia. Autor „Poezji integralnej” mógłby bowiem powołać się na swój list do Kurka z 27.IV.1931, w którym pisał: *Czy bierzecie udział w „Zbiorze” (pierwotna nazwa „Linii”) Czechowicz? byłbym bardzo za tym. Sugestia w sprawie obecności Czechowicza we wspólnym piśmie awan-*

## Poszukiwanie w Teatrze im. Andersena

**P**RZED rokiem kierownictwo artystyczne Teatru Lalki i Aktora im. H. Andersena w Lublinie objął Włodzimierz Felenczak. To jego temperament, żywiołowość i rozmach sprawiły, że dotychczasowy kształt teatru uległ przeobrażeniu; toteż po pierwszej konfrontacji z widzami (zwłaszcza dorosłym), ten ostatni zachowuje postawę pełną rezerwy, a mówiąc wprost, czuje się nieco zdezorientowany.

No cóż, siła przyzwyczajenia jest ogromna. Nawykli do tego, że gdzieś jak gdzie, ale w teatrze dla dzieci ma się owo upragnione „czarno na białym”, utwierdzeni ponadto w moralizatorsko-dydaktycznej funkcji sztuki przeznaczonej dla młodego widza, zarówno nauczyciele, jak i rodzice nie wiedzą jak należy widzieć i rozumieć aktualne pozycje repertuarowe sceny: „Akademię Pana Kleksa” (reż. Włodzimierz Felenczak) i „Dixi” (reż. Bogusław Kierc).

Pierwszą, szokującą nowością, jest pokazanie aktora-lalkarza w tzw. „żywym planiu”. W tym miejscu należy zacyto-

wać, gwoli wyjaśnienia nieporozumień, słowa Włodzimierza Felenczaka:

— Teatr jest jeden, a tym, który teatr tworzy od początku do końca, jest człowiek. Człowiek w teatrze, to oprócz reżysera aktor i tylko aktor. Aktorem się jest albo nie. Lalka bez aktora milknie i sztywnieje, aktor bez lalki nie przestaje być aktorem. Teatr to materia ożywiona działaniem artysty. Materiał scenograficzny znaczy i żyje wtedy, gdy aktor swoim kunsztem wydobywa z przedmiotu mowę. Może to być wyrazista maska, peruka, drabina czy krzesło, dzięki aktorowi teatrem może być wszystko, co weźmie do ręki i nada temu wymowność znaczącą, kreującą.

„Akademia Pana Kleksa” jest dziełem, w którym za wieloznacznością i aluzyjnością scen kryje się zasadniczy cel: pobudzenie wyobraźni widza, sprowokowanie go do myślenia teatralnego. O dziwo — chociaż co w tym właściwie dziwnego — wyobraźnia dziecięca z ogromną łatwością „odnajduje się” w odrealnionym świecie „Akademii”, przyjmując konwencję i żywo uczestniczy w działaniach aktorów.

Dla Felenczaka teatr jest „kreacją bez początku do końca”. Bez początku, bo wchodząc do teatru znajdujemy się od razu w murach Akademii, w której wszystko kołata i nym zyciem. Do końca, bo finałową mowę prof. Kleks wygłasza w obronie Fantazji, czyniącej piękniejszym i bogatszym życie człowieka.

Dlatego w lubelskiej inscenizacji spektaklu Babel (sztuczny człowiek stworzony przez Kleksa) nie istnieje w określonej formie, jest bowiem dziełem imaginacji profesora, jego uczniów oraz widza. W Akademii profesora Kleksa obowiązuje umowa. Pracuje się tutaj nad doskonałaniem wyobraźni. Dla wprowadzenia wyobraźni w ruch i przeżycia największego dreszczu emocji z tym związanego, potrzebny jest rytuał: stanie na jednej nodze, widzenie magiczne i działanie magiczne. A kim jest sam Kleks? Polskim Frankensteinem, któremu własne dzieło wymknęło się z rąk, czy doktorem Jekyll'em, odnajdującym w sobie drugie, inne „ja”, szatanem czy czarnoksiężnikiem? Kim jest Babel, nieuchwytny jak nasze odbicie w lustrze?

Wydaje się, że istnieje tylko jedna odpowiedź: Kleks i Babel ucieleśniają w inscenizacji teatru Andersena ideę pilnie poszukiwaną przez Włodzimierza Felenczaka. Ideę teatru najbardziej przystającego do wyobraźni dziecięcej, teatru widzącego w dziecku równorzędnego i mądrego partnera, odrzucającego naiwny mikroświatek poczynających (?) bajek na rzecz teatru, w którym żywiołem wyobraźni artystycznej jest kreacja jako forma najbardziej wyrazista i bogata w treści dla widza w każdym wieku.

Nawiązanie kontaktu i współpracy z Bogusławem Kiercem, aktorem, reżyserem, poetą i esztyką w jednej osobie,

gardy pojawiały się często i w listach Brzękowskiego, i Przybosa. Wydaje się po prostu, iż nikt nie zwrócił się bezpośrednio do niego o wiersze do pisma, a on sam bez specjalnego zaproszenia nie chciał tego robić. Czechowicz najprawdopodobniej unikał się ambicją i nie zabiegał później o druk, skoro „Linia” — sądził — postanowiła się bez niego obejść. A przecież mogło być zupełnie inaczej.

Świadczenie bowiem na pismo nie było warunkiem koniecznym druku w nim, wystarczy powołać się na Czuchnowskiego, Elinówny, nie mówiąc o Piętaku i Żagarystach. A ówczesna sytuacja Czechowicza była istotnie zła — nie miał on nawet pieniędzy na pokrycie kosztów druku swojego tomu „Ballada z tamtej strony”, który po korekcie leżał już w lubelskiej drukarni w lipcu 1931 roku.

Ponieważ możliwość współpracy awangardy lubelskiej z krakowską została przekreślona, Czechowicz odizolował się, o czym świadczy jego list z tego czasu do „Wiadomości Literackich”, w którym odżegnywał się od łączenia jego nazwiska z Kwadrygą. W tym liście pisał: *Ponieważ zdarzyło mi się, że poprzednio nazywano mnie poetą Meteora, a nawet Kwadry, oświadczam, że do żadnej grupy poetyckiej nie należę.* Ta manifestacja niezależności i samotności pisarskiej prowadziła między innymi do czasowego zamknięcia się w środowisku lokalnym, gdzie wkrótce stworzył wraz z Franciszką Arnsztajnową Związek Literatów i gdzie (pod koniec 1932 roku) powstała „Barykada”. Istniał też projekt poetyckiego pisma „Strefa”, którego redaktorem miał zostać Czechowicz, projekt ten nie doczekał się jednak realizacji.

Isolacja Czechowicza była przejściowa, bowiem działalność jego na gruncie lubelskim stała się odskocznią w kierunku stolicy. Kolumna poetycka w „Zecie”, którą (z Lublina) redagował Czechowicz, stanowiła zatem jeden z pomostów. Dzięki niej Czechowicz dał się poznać jako dobry organizator ruchu awangardowego, a dobór autorów świadczył, iż zależało mu na odegraniu roli animatora i koordynatora wobec innych ośrodków w kraju, zwłaszcza młodoliterackich. Jednocześnie aktywizował on kontakty z poprzednich lat, zwłaszcza z literacką Łodzią, szczególnie zaś z Marianem Piechałem. Czechowicz bardzo interesował się „Prądami”, zapraszał Piechała i Grzegorza Timofiejewa do współpracy z „Barykadami”, a wreszcie wysuwał dalej idące projekty, o czym pisał do Mariana Piechała 25 VIII 1932: *Robię starania o przeniesienie się do Warszawy. Skoro tam osiądę, będziemy się widywali często i może zrobimy coś razem.*

Zamysł ten spełniony został dopiero po roku i wtedy to Czechowicz rzeczywiście wystąpił w roli rzeczownika całej awangardy zwłaszcza jako organizator słynnego „Najazdu Awangardy na Warszawę”, który miał miejsce w marcu 1934 roku. Sprawa ta wykracza już jednak poza obszar, jaki tutaj zakreślono.

Na koniec warto zwrócić uwagę na pewne sugestie interpretacyjne, jakie zawierają się w przedstawionym powyżej materiale. Wolno mianowicie ówczesnego Czechowicza i jego poezję widzieć w związku o wiele bliższym z awangardą krakowską, niż wskazywałyby na to uzewnętrznione dawniej fakty, jednocześnie zaś można poszerzyć formułę awangardy z lat 1930—1931 o praktykę poetycką autora tomu „dzień jak codzień”. Za taką decyzją przemawiałoby okazywane przez Czechowicza uznanie dla liryki Przybosa, Kurka, a także entuzjastyczne opinie o wierszach Czuchnowskiego. A „Miasteczko” Brzękowskiego, drukowane w pierwszym numerze „Linii”, bardzo zbliżało się do poetyki Czechowicza.

Tadeusz Klak

**I** OZEF Czechowicz zajmuje wyjątkowe miejsce w poezji polskiej okresu międzywojennego. W jego utworach przejawia się związek zarówno z awangardową poezją dwudziestolecia międzywojennego, jak i z tradycją symbolizmu.

Twórczość najgłośniejszego lubelskiego poety przetrwała próbę czasu i wciąż budzi zainteresowanie dzisiejszych czytelników, krytyków i badaczy. Nadal jest on wydawany, pojawiają się o nim liczne wspomnienia i opracowania krytycznonaukowe. Ale w stosunkowo bogatej już literaturze krytycznej nie zwrócono dotychczas uwagi na jego dorobek w dziedzinie przekładu. A przecież twórczość przekładowa Czechowicza stanowi ważną kartę w jego pisarstwie. Zarówno we własnej poezji, jak i w dziedzinie przekładu, był on twórczy i nowatorski. Swoje osiągnięcia poetyckie rozciągał na praktykę przekładową, swoje doświadczenia tłumacza spżytkował jako poeta.

Pierwsze tłumaczenia zbiegają się w czasie z jego próbami poetyckimi. Zarówno w przekładach, jak i w

## TŁUMACZ NIEMAL ZAPOMNIANY

Małgorzata Matecka

najwcześniejszych wierszach przejawia się związek młodego poety z tradycją symbolizmu.

Archiwum Czechowicza z 1920 roku zawiera liczne wypisy z poetów młodopolskich. Ale są tam też rzeczy o wiele ciekawsze. Zachowało się bowiem kilka zeszytów, do których wpisywał różne przekłady i opatrywał je znakiem „Ex libris Józefa Czechowicza”. Zeszyty te zawierały między innymi utwory parnasistów oraz symbolistów francuskich i belgijskich, którzy odegrali, jak wiadomo, ważną rolę w rozwoju talentu Czechowicza.

W 1933 roku Czechowicz dokonał tłumaczenia kilku utworów Błoka. Wśród nich znalazł się wiersz „Iz dlinnych traw wstaje luna” — w przekładzie „Wstaje zza traw wysokich księżyc”. Przekład jest doskonały, mimo że tłumacz nie oddał ściśle kształtu wersyfikacyjno-rymowego pierwowzoru. Na uwagę zasługuje zastąpienie systemu rymów męsko-żeńskich wyłącznie żeńskimi. Wprowadzone zostały także pewne niewielkie zmiany znaczeniowo-słowne: „długie fale” zastępuje Czechowicz „wysokimi falami”. Zakończenie pierwszej zwrotki w tekście Błoka brzmi:

*I bujnej muzyki woła  
Płesnuła w morie zarwoje  
natomiast u Czechowicza:  
Muzyka bujną falą ciężą  
W ocean łun i zórz przenika*

W oryginale nie ma mowy o przenikaniu bujnej fali muzyki w ocean łun i zórz. Są to ślady wpływu młodopolskiej manieri poetyckiej przejawiającej się w nadużywaniu ozdobnej metaforyki.

Ale podobne odchylenia nie naruszają treści i zasadniczego tonu emocjonalnego przenikającego oryginał, nie wprowadzają załamania i sprzeczności. Wiersz Błoka jest jedną wielką metaforą, wyrażającą stan emocjonalny poety. Przejęcia podmiotu lirycznego zostały w przekładzie oddane w sposób adekwatny. Tłumaczenie zachowuje także śpiewność i muzyczność ory-

ginału. Śpiewność frazy i melodyka były bowiem istotną cechą twórczości Błoka. Poezję swą przepoił on różnorodnością barw, a zwłaszcza dźwięków, które harmonizowały ze wszystkimi odcieniami jego złożonych i sprzecznych przemyśleń.

Muzyczność i barwność, tak charakterystyczne dla omawianego utworu, zostały w pełni oddane w przekładzie — głównie dzięki zachowaniu słownictwa z dziedziny muzyki.

Słownictwo muzyczne, przewijające się w twórczości Błoka i wiernie oddane w przekładach, jest zresztą bardzo charakterystyczne dla oryginalnej poezji Czechowicza. Podkreślił to wyraźnie Kazimierz Wyka pisząc: „Tę niepowtarzalną wśród dziesiątek podobnych wierszy dającą się rozpoznać muzyczność Czechowicza odczuwam i słyszę jako główny motyw jego sztuki”.

Dośkonłość przekładów Czechowicza nie polega na kopiowaniu rosyjskich jednostek językowych, ani też powtarzaniu leksyki oryginału. W swojej pracy przekładowej dokonał lubelski poeta trudnej sztuki znalezienia i zorganizowania takich składników, które tworzą trafny ekwiwalent w stosunku do pierwowzoru. A ponieważ na znalezienie takiego ekwiwalentu nie ma żadnej reguły, dlatego często tłumaczenia jego dalekie są od dośłowności, a jednak bliskie oryginałowi.

Potwierdzeniem tego są przekłady utworów „W syrom nocnom tumanie” („Skroś mokrą noc w tumanie”) oraz „W gustoj trawie propadiesz z golawoj” („W gęstwinie traw przepadniesz, zginiesz z głową”). Zmiany znaczeniowo-słowne wprowadzone w obu tłumaczeniach nie przeszkadzają Czechowiczowi w wiernym oddaniu treści utworów, zachowaniu niejasności oraz wywołaniu przeżyte lęku i grozy, które są właściwe wersji rosyjskiej.

W całym przekładzie utworu „Skroś mokrą noc w tumanie” uderza wspaniała adekwatność formy wobec oryginału. Nie znalazł natomiast Czechowicz właściwego ekwiwalentu od strony formalnej w drugim tłumaczeniu. Rysunek rytmiczno-intonacyjny nie został w pełni zachowany w tekście polskim. Poza tym rzuca się w oczy brak kilku dość istotnych określeń, np. zamiast wyrażenia „cichy dom” wprowadza Czechowicz tylko „dom”, przez co wersja polska traci wyrazistość i wydaje się w porównaniu z utworem Błoka znacznie uboższa.

W obydwu wskazanych przekładach (podobnie jak w utworze „Wstaje zza traw wysokich księżyc”) przewija się związek z własną poetyką Czechowicza. Uwiadcznia to nie tylko zastosowanie słownictwa z dziedziny muzyki.

W dziedzinie przekładu poetyckiego Czechowicz stale pogłębiał i doskonalił swoją sztukę. Konfrontował pracę z innymi tłumaczeniami, wypowiadał się na temat przekładów dokonanych przez innych poetów. Szczególnie interesował się pracą translatora K. A. Jaworskiego. Łączyły ich wspólne zainteresowania, dowodem czego są dokonane przez nich przekłady często tych samych poetów (Błoka, Cwietajewej). „Wiersze Cwietajewej zamieszczono w „Kamieniu” — jak stwierdziła Ludwika Jazukiewicz-Oselkowska — zarówno w przekładach J. Czechowicza jak i K. A. Jaworskiego, trafnie zapoznają z odmianami i różnicowaniem estetyki tej poetyki, wykraczającej wówczas daleko poza ramy poetyki akmeistycznej”. Obu tłumaczy — jak stwierdza dalej autorka — cechuje kultura uczuć oraz umiejętność wiernego oddania treści. Różnili się jednak tym, iż Czechowicz w większości wypadków unikał eksperymentów natury formalnej.

Oprócz Błoka i Cwietajewej Czechowicz interesował się również innymi wybitnymi twórcami literatury rosyjskiej i ukraińskiej (dowodem czego są tłumaczenia np. z Lermontowa, Kuźmina, Orleszyna, Jesienina, Szewczenki, Tyczyny). Jednakże najwięcej ciekawych i interesujących tłumaczeń poetyckich dokonał lubelski poeta właśnie z twórczości Błoka. Sprawilo to widocznie u Czechowicza głębokie umiłowanie poezji symbolistycznej, której jednym z wybitnych przedstawicieli był rosyjski poeta.

**Stuchajcie chłopcy!** ←  
niektórym z was wydaje się, że jestem jakimś czarownikiem lub sztukiemistrzem. Takiemu co tak myśli, powiedzcie, że jest głupi. lubię robić wynalazki i znam się trochę na bajkach. Nie lekceważcie fantazji, bez fantazji nie może powstać nic wielkiego.



Obywatel z bliska powierchnię księżyc. Moje wszechwidzące oko wróciło właśnie z wyprawy. Kosmiczna stacja przeladunkowa działa bezbłędnie. Ale oświadczam uroczyście: Ja w tym udiatuu brać nie będę. Nie będą narazie penetrowat przestrzeni międzyplanetarnych gdyż za dwoje jest jeszcze spraw do zatratwienia na Ziemi. Dopóki tu panują choroby, nieszczęścia i niedostatek, moim obowiązkiem jest myśleć o ludziach. Tak moi drodzy! Ludzie na Ziemi to dla mnie rzecz najważniejsza.



Wan Alojzy Kleks

ponadto żywo interesującym się dydaktyką współczesną, a ściślej — nowocześnie, wydało owoc w postaci „Dixi”.

I znowu paradoksalne zjawisko: dzieci przyjmują sztukę ze zrozumieniem (!) tudzież z właściwym sobie entuzjazmem, podczas gdy większość dorosłych nie wie, co począć z tym fantem... Tymczasem sprawa jest bardzo prosta. „Dixi” to kabaret dla dzieci. Powstało widowisko, którego właściwą treścią jest... forma, w którym miejsce Pani Fabuły zajmują pomysły i rozwiązania sceniczne, w którym brak fabuły pozwala na swobodną grę wyobraźni. „Dixi” zapoznaje dzieci z tak bliskim ich światu teatrem absurdu, groteski, operetki; z kabaretem, colleg'em, happeningiem; z parodią, metaforą, aluzją.

Niezwykle istotną i bezcenną wartością obu sztuk jest to, że odzwierciedlają one bardzo wyraziste osobowości i temperamenty artystyczne młodych reżyserów. „Kleks” jest niepokojący, niecierpliw, nerwowy, obnażający podświadomość i zafascynowany nią, „Dixi” odwołuje się do wyobraźni asocjacyjnej, skojarzeniowej dziecka. Tego rodzaju wyobraźnią rzadko „operują” dorośli, najczęściej sięgają do niej poeci.

Nie pora jeszcze na uogólniające formuły o teatrze Włodzimierza Felenczaka. Stoją przed nim jeszcze zadania, których efekt pozwoli szerzej i wnikliwiej omówić osobowość artystyczną młodego twórcy.

Hanna P.

Alina Guzowska

### BEZ RATUNKU...

To nie jest tak że usiądę i wiersz napiszę o spustoszeniu jakiegoś miasta albo chwila nieproszona

I nie napiszę wiersza o wczorajszym zachodzie słońca przystrojonego w obłok zapolany moimi myślami by mi je dzisiaj podać odwrócone na nice

Koła pociągów i tak z jednakową furją akcentują na rozjazdach zbliżenia i oddalenia o nikt nie ma siły zawołać Ratunku

Kamena str. 5

**H**AKON" jest zakładem, z którego żyje prawie pół miasta i bardzo wiele rodzin w okolicznych wioskach — mówi mężczyzna, którego pytam o drogę na zalanym słońcem rynku Hrubieszowa.

— Jest to nasz największy, a właściwie jedyny zakład produkcyjny — wyjaśnia Waldemar Korcosz, I sekretarz Komitetu Miejskiego PZPR. — Wprawdzie nieco więcej osób zatrudnia obecnie Oddział PKS, ale w produkcji Zakłady Przemysłu Lniarskiego „Hakon” na całą okolicę są i długo jeszcze pozostaną największe. Przede wszystkim dały pracę kobietom w mieście liczącym już ponad 19 tys. mieszkańców, a ponadto możliwość podwyższenia dochodów okolicznym rolnikom.

Okazuje się jednak, że nie tylko Hrubieszów łączy swoje radości i kłopoty z „Hakonem”, nie tylko czterystuosobowa załoga i jej rodziny. Ponad 3.390 rodzin chłopskich z województw: zamojskiego, przemyskiego i chełmskiego przeznaczają na uprawę konopi ponad 3 tys. hektarów dobrej ziemi, a 720 rolników, gospodarujących na gruntach lepszych, prawie 600 ha na plantacje lnu. W tej ostatniej uprawie hrubieszowska fabryka jedynie

z konopi, ale i odprowadzają zbędne liście, a następnie oddzielają oleiste ziarna od przyszłej karmy. Osiągnięcie uważane jest za dzieło zbiorowe. Mgr inż. Wacław Szymański, zastępca dyrektora do spraw techniczno-produkcyjnych, jeden z inicjatorów spożytkowania tych odpadów, mówi, że trudno tu wyróżnić kogoś, a nazwisk byłoby sporo. Analizy laboratoryjne wykazały, że liście konopi posiadają wiele białka i innych cennych dla organizmów zwierząt składników. Po zbudowaniu odpowiedniego urządzenia do przemiatu, „Hakon” dostarczać będzie około 2.100 ton wartościowej karmy, dobrego komponentu dla mieszalni pasz. Jeśli pomysł ten przejmą pozostałe roszarnie, hrubieszowska inicjatywa nabierze dodatkowego znaczenia. Zniknie jeszcze jedno marnotrawstwo, będzie mniej śmieci, zakłady roszarnicze uzyskają dodatkowe miliony, co nie pozostanie bez wpływu na zarobki załóg.

Nie na tym koniec hrubieszowskich pomysłów, przeciwstawiających się marnotrawstwu, tym razem ziemi. Roszarnia posiada we wspomnianych województwach 5 dziesięciohektarowych placów, na których składa się surowiec zakupiony u rolników.

Okazuje się, że jedna tona konopi poddana procesom sztucznego zraszania w basenach zużytkowuje 50 metrów sześciennych wody, w dodatku zmiekczonej, by miała technologiczną przydatność. Chodzi tu o oszczędność 600.000 metrów sześciennych wody rocznie, a więc i tyle samo ścieków. Na polach woda spada „z nieba”, a ziemia pod zraszanymi konopiami nawet staje się żyźniejsza. Tymczasem w okolicach roszarni nastąpiło już dość znaczne obniżenie lustra wód gruntowych. Trzeba było nawet wybudować na koszt fabryki dodatkowo kilka głębinowych studni i pomp, aby nie ucierpieli mieszkańcy tej części miasta.

W swoim czasie wybudowano w Hrubieszowie oczyszczalnię ścieków. Niemal w połowie, bo dwudziestoma milionami złotych, sfinansował ją „Hakon”. Niemniej za każdy metr sześcienny ścieków, zgodnie z przepisami, musi płacić teraz 10 złotych. Tu chodzi więc już o miliony, zdrowie ludzi i zwierząt, a także o ochronę środowiska naturalnego.

Również w dziedzinie socjalnej zrobiono tu w ostatnich latach sporo. Główną część zakładów zbudowano przed rokiem 1970, a więc w latach,

# W „HAKONIE” LUDZIE MYŚLĄ

Tadeusz Jasiński

pośredniczy w zawieraniu umów dla roszarni lniarskich z innymi częściami kraju.

Mgr inż. Andrzej Wołowski, dyrektor naczelny „Hakonu”, orientuje mnie w geografii zbytu półproduktów. Włókna długie stanowią produkcję antyimportową i przetwarzają je Zakłady Tkanin Technicznych „Eskord” w Ilowej Zagańskiej, w województwie zielonogórskim. Około 30 proc. kupują: Wielka Brytania, Francja i Kanada. Włókna krótkie, czyli tak zwane pakuly, Zjednoczenie Tkanin Technicznych i Filców przejmuje dla swoich zakładów na Śląsku, także paździerz. Natomiast całkowicie bezużyteczne były dotychczas liście konopne i ziarno, wędrowały więc po prostu na wysypiska śmieci. Tymczasem okazało się, że za tonę ziarna konopnego przemysł tuszczowy może płacić aż 40 tys. złotych. Kierownictwo „Hakonu” postanowiło więc zapobiec dalszemu marnotrawstwu, spodziewając się uzyskać w ciągu roku prawie sto ton ziarna, z których jedna czwarta pójdzie na eksport.

W zakładach tego typu jak hrubieszowski „Hakon” podczas miedlenia konopi powstaje bardzo dużo kurzu. Zainstalowano więc od początku duży system wentylacji i odpylania. Jednak wiele z prototypowych maszyn nie zdało egzaminu. Ale i na to znalazł się sposób. Rzemieślnicy z działu głównego mechanika dokonali poprawek konstrukcyjnych, wprowadzili szereg zmian w cały system i rzeczywiście udało im się znacznie złagodzić warunki pracy. Chociaż w roszarni nigdy nie da się całkowicie wyeliminować kurzu i pyłu, wskutek czego część załogi pracuje w maseczkach na twarzy.

Marianna Lebedowicz, pracująca w zakładach od chwili ich założenia, usiłując przekrzyknąć hałas obsługiwanej maszyny woła do mego ucha:

— W maseczce trudno jest pracować, chociaż praca tu nie jest ciężka, lecz uciążliwa.

Ci sami ludzie, którzy poprawili błędy konstruktorów, teraz sami budują nowe i stosunkowo proste urządzenia, które nie tylko pozyskują ziarno

Z tych składowisk w miarę potrzeb produkcyjnych fabryki przewozi się konopie do Hrubieszowa. Sterty i drogi dojazdowe składowisk zajmują za ledwie połowę tej często bardzo dobrej ziemi. Reszta, co wynikało z przepisów przeciwpożarowych, określających odległość od stogu, zarastała chwastami, wymagając zresztą od czasu do czasu plewienia. W tym roku te puste i zaniedbane 25 ha roszarnia obsiała konopiami. Zielone przecieć się nie pali, nie stanowi zagrożenia. Ziemi przywrócono jej właściwą funkcję. Zjednoczenie Przemysłu Lniarskiego zamierza w przyszłym roku upowszechnić ten prosty przecieć sposób w całym kraju. Będą to setki oszczędzonych przed agresją zielska hektarów mogącej rodzić ziemi.

Kiedy zwiedzałem zakłady, znalazłem się w tej części hali, gdzie głębokie baseny przyjmują na trzydobowe procesy fermentacyjne pojemniki z konopiami. Zapachy nie przypominają tu perfumerii. W tych basenach odbywa się tzw. zraszanie, a obok uciążliwe suszenie. Dość kosztowna operacja, bywało nieraz — wąskie gardło produkcji.

W tym roku zespół kierowniczy „Hakonu” zapoczątkował zraszanie tego surowca bezpośrednio na polach plantatorów, i to w sposób naturalny: po skoszeniu konopie rozłożone na rzysku, czekają na odpowiednie dawki deszczu lub choćby nocnej rosy, i dopiero potem, po wysuszeniu, są odstawiane przez plantatorów do wielkich stert na składowiskach. Rolnicy chętnie podejmują się tego zabiegu, bo dzięki niemu cena konopi wzrasta prawie o jedną trzecią. Roszenie jest konieczne, stanowi podstawową czynność przed dalszymi procesami, które jednak odbywają się już w fabryce. Pod jego wpływem następuje rozluźnienie więzi między drewnikiem a włóknom rośliny, o którego uzyskanie właśnie chodzi.

kiedy przedsięwzięcia socjalne nie były dostatecznie doceniane. Teraz trzeba było zaniechania te nadrobić. Wybudowano dwa bloki mieszkalne dla 75 rodzin i międzyzakładową przychodnię zdrowia, mały ośrodek wypoczynkowy nad odnogą Bugu w Starosielu koło Dubienki. Przybyły stolówka, sklepik, świetlica i przedszkole.

Minionego lata całej załodze, oprócz części mechaników, dano równocześnie dwutygodniowy urlop na przełomie lipca i sierpnia, w okresie największego nasilenia prac żniwnych.

— Moi rodzice są już starzy, mają w Łaskowie gospodarstwo — powiedziała mi sortowaczka włókna, Janina Młynarczykowa, dojeżdżająca z tej wsi. — W czasie urlopu mogłam im pomóc, to samo czynię w wolne soboty. Trafilo na żniwa z tym wspólnym urlopem załogi. Żeby tylko poprawiło się z komunikacją od strony Smoligów do Hrubieszowa i z powrotem.

— Załoga bardzo szanuje ten urlop w czasie lata i wolne soboty — potwierdza Henryk Bartczuk, belowacz paździerzy. — Wielu z nas posiada gospodarstwa, inni mają na wsi rodziny, jeszcze inni mogli skorzystać w dobrą pogodę z wczasów i wspólnych wycieczek. To nas wiąże z zakładem, kiedy ludziom idzie się na rękę.

W ubiegłym roku zakłady awansowały do rodziny przedsiębiorstw należących do tzw. WOG, czyli Wielkiej Organizacji Gospodarczej, co oznacza przejście na nowy system finansowo-ekonomiczny. Dyrekcja, organizacje partyjna i związkowa, rada robotnicza muszą zbiorową głową kręcić coraz mądrzej, aby zakłady osiągały teraz lepsze wyniki, a i załoga w systemie bodźców ekonomicznych odczuwała stałą poprawę warunków materialnych i socjalno-bytowych. Pokazane nowości ku temu zmierzają.

Grażyna Kubiak

## CHRYSTUSKA ZE STYGMATEM MIESZCZAŃSKIM

Ukrzyżowana przez dobrych ludzi  
Wreszcie mam czas na spokój  
Cierpienia, które wybaczają i milczą  
Pamięć o śmierci wskrzesza życie  
Zwielokrotnione świadomością chwili  
I tyle bytów ile śmierci Myśli — Przeżyć.

...Zgoda. Jesteśmy mali  
Ale dlaczego płaczą?  
Ze po krochmalu pamięci  
Prawda żelazkiem się ślizga  
Z duszą większą od naszej  
Pieści glaskaniem zmarszczki  
Zbyt oryginalne dla ręką...

Ukrzyżowana dobroci rękami  
Ból dedykuję szukaniu  
Wymiaru i perspektywy.

Motto: dystans.

Edward Nadulski ma do zanotowania duży sukces: w tym roku pięć indywidualnych wystaw w kraju: Warszawa, Bielsko - Biala, Bydgoszcz, Radom i w tej chwili Olsztyn. Na tej ostatniej zaprezentował 46 prac, reprodukuje jedną z nich — „Pejzaż z Lubartowa” (olej). Szykują się także wystawy indywidualne w Szczecinie i Białej Podlaskiej. Ostatnio Nadulski maluje przede wszystkim pejzaże z Lubelszczyzny — Kazimierza, Naleczowa, Chelma, Zamościa, Lubartowa, Wirleja, Włodawy.



# Ktokolwiek będziesz

## W nowo- gródzkiej stronie...

Tadeusz Tluczkiewicz



Pierwsza sala muzeum Mickiewicza w Nowogródku.

**I**TERAZ skręcimy na lewo...  
gadamy do siebie, bo słuchanie radia już mi się znudziło, bo w tej podróży towarzyszy mi tylko stara walizka. Nową, specjalnie zakupioną, pozycyła córka kochanemu Rysiovi, ona dla niego wszystko z domu wyciągnie, chociaż to nie jej chłopak, a mąż jej siostry...

No więc, skręcamy — ja i samochód — na lewo, wóz jest posłuszny, jakby rozumiał człowieka, niemalże uprzedza jego intencje. Opony już nie szumią na asfalcie, główna trasa biegnie dalej prosta i monotonna. A mnie odbiega zmęczenie, potęgowane upałem lipcowego przedpołudnia. Świat się przed oczyma otwiera inny, niedzisiejszy, chwytam kierownicę oburącz, rzuca... Trakt szeroki, wytyczony dwurzędem brzoź smukłych, wierzby rozłożystych. Ostry, drobny szuter strzela gęsto o błotniki; ciągnie się za wozem kilometrowy ogon kurzu, stojącego w nieruchomym powietrzu. Trakt kluczy w lewo i prawo, wspina się na pagórki sosnowe, spada w doliny, między zboża i łąki, zwięża w leśnym wąwozie. Biję zapachem traw i kwiecica, chce się rękę wyciągnąć i zza opuszczonej szyby uchwycić mięciutki gałązki modrzewia...

*„Ktokolwiek będziesz  
w nowogródzkiej stronie,  
Do Ptuzyn ciemnego boru  
Wjehawszy, pomnij zatrzymać  
twe konie  
Byś się przypatrzył jezioru...”*

A jezioro wylania się z nagle, z ostrego skrętu szosy, której pobocza z jednej strony dają wstęp na obszerną polanę ocienioną drzewami, z drugiej — na pełną słońca łączkę, przechodzącą w brzeg piaszczysty.

Skręcam na polanę, gdzie by się tu zatrzymać w tym gąszczu samochodów i ludzi? Pomaga mi milicjant ze służby ruchu, wskazuje ręką wolne miejsce, wciskam się tam tyłem, przekręcam kluczyk w stacyjce. Krótki popas, dla mnie i mechanicznych koni kilkudziesięciu, czas i miejsce wyborne.

*„Switez tam jasne rozprzestrzenia  
łona,  
W wielkiego kształcie obwołu,  
Gęstą po bokach puszcza oczernioną,  
A gładka jak szyba lodu.”*

Oto mam Switez. Wielki kształt obwołu. Ten sam, lub — taki sam. I puszcza wokół. Ta sama — czy... taka sama?

Gęsto na polanie i gęsto w wodzie. Z rybackiego pomostu widać piaszczyste, gładkie dno. Cierpliwie tkwią rybacy na swoich stanowiskach, wiadomo, nie ryby tu najważniejsze, lecz sam ceremoniał wędkarski, pogawarki o sukcesach, takie sobie leniwe rozmyślenia. Ryba nie weźmie, gwaru za dużo. Ludzie z daleka tu ciągną, bo okolica przepiękna, czyste, zdrowe powietrze, samochodem w las nie wolno, rezerwat przyrody. Takie mrowie, a lodów i wody mineralnej jakoś nie braknie w dwu ruchomych stoiskach, koniak gruziński wprost na oczach, ale nalepki już od słońca przybladły.

*„Jeżeli nocną przybliżył się doba  
I zwrócił ku wodom lice,  
Gwiazdy nad tobą i gwiazdy  
pod tobą,  
I dwa obaczysz księżycy.”*

Nie zobaczę dzisiaj księżycy nad Switezia, czas na dalszą jazdę. Wóz kolebie na nierównościach brukowanej nawierzchni, wiejskie domki w ogródkach, gdzieś tu niedaleko Zaosie. Skromny chutor, w którym Adam na świat przyszedł, wiatry, deszcze i czas wiele narzuciły, ale ślad po nim został — kamienny, pamiętkowy obelisk.

Teren wznosi się teraz, pofalowana łagodnie przestrzeń ustępuje miejsca stromym podjazdom i gdy jestem na szczycie wzgórze — widzę następne, a na nim miasteczko. U jego stóp wieża kościelna. Nad nią — ruiny zamku.

*„Zamek na barkach nowogródzkiej  
góry  
od miesięcznego brał poźlotą blasku,  
Po wałach z darni  
po szynym piasku”*

*„olbrzymim słupem lamał się  
cien bury  
Spadając w fosę,  
gdzie bród wiecznych cieśni  
dyszała woda spod zielonych  
pleśni.”*

Pisał Mickiewicz „Grażynę” w swych latach kowieńskich, odświeżając nierzadko wspomnienia dziecięcych lat powrotami na nowogródzcyń; pisał „Pana Tadeusza” na paryskim bruku — nie zadziwia więc dokładność obrazów, do końca życia nie zatartych. Ale jak mocno uderza zachowany do dziś, tak werny opisowi kształt darniowych wałów zamkowego wzgórze zwieńczonego ruinami, głębokiej fosy dookoła, z brzegami spadzistymi. Nie uległy dotąd erozji... Czy takie je widział Adam? Nad takimi stawał?

Wody już tylko w fosie nie ma. Spłynęła, wsiąkła w ziemię wraz ze świetnością nowogródzkiego zamczyska, z kośćmi tutejszych książąt i księżąt. Widok ze wzgórze rozległy: na pola uprawne, lasy niedalekie, zboża złociste, jeszcze nie zżęte. I na miasteczko białe, sennie teraz w obładowej porze. Przy ulicy Mickiewicza, w budyneku nowym, z podjazdem i żywopłotem, siedziba miejscowych władz. Czeka tu na mnie i chociaż nie jestem ani „delegacją” ani osobistością oficjalną — prowadzą uroczyste na sąsiednią uliczkę. W głębi ogrodu — mury domku z filarami, schludny, solidny — wierna kopia zburzonego przez hitlerowców w latach okupacji domu rodziny Mickiewiczów. Przedsiódek, drzwi podwójne, hall maciupęki i na wprost oczu — popiersie wieszca.

Nazywam się milion — bo za miliony kocham i cierpię katusze... Młoda nauczycielka objaśnia grupie dzieciaków w pionierskich białych koszulach i czerwonych krawatach znaczenie tych słów. Malcy obchodzą popiersie, skupieni, uważni, którzy ostrożnie, delikatnie, dotyka palcem gałoty kryjącej stary barokowy zegar, ocalony z wileńskiego mieszkania poety. Nie za wiele w tym muzeum oryginalnych eksponatów: jakiś stylowy sekretarzyk, inkrustowany brzoza stolik i kącik „Tuhanowicze” — malowidła i portretowe miniatury tuhanowickich dziedziców. Dwa fotole — śladywała ponoć na nich Maryla Wereszczakówna. Ale jakim cudem mogły by się uchować do naszych czasów liczone oryginały? Historia nie oszczędziła tym stronom ani pożóg, ani równie groźnych i niszczących przemarszów wojujących armii. Ale przecież — już w roku 1920, kiedy to na czas niedługi ustanowiła się w Nowogródku radziecka władza — dekretem Nr 40 Nowogródzkiego Komitetu Wojenno-Rewolucyjnego ustanowiono opiekę nad domem Mickiewiczów, uznano, że wśród wielu zadań władzy robotników i chłopów, jednym z najważniejszych jest ocalenie dla potomności materialnych śladów epoki wieszca, z nim związanych, jego przypominających.

Po drugiej wojnie, w grudniu 1955 roku, gdy cały świat obchodził setną rocznicę śmierci Adama, Muzeum w Nowogródku ponownie otworzyło swe podwoje. W 1971 urządzono nową ekspozycję, taką, jaką i dziś można oglądać. Kopie i makiety, reprodukcje obrazów i portretów związanych z życiem i twórczością Mickiewicza, tu i ówdzie oryginalne litografie, poźółkie karty tytułowe pierwszych edycji. Egzemplarz „Poezji”, tom pierwszy, wydany w drukarni Józefa Zawadzkiego w Wilnie w roku 1822, z własnoręczną dedykacją „Marii i Zofii Malinowskiej — Adam Mickiewicz”. I jeszcze jedno popiersie. Poeta w białym marmurze. Duża, blisko dwumetrowej wielkości płyta kamienna — dzieło rzeźbiarza Oleszczyńskiego, ufundowana w setną rocznicę urodzin Mickiewicza przez jego córkę, Marię Górecką.

Jeszcze raz patrzę na wnętrza tych sal małych, urządzonych z dużym wyczuciem estetyki, z ogromną starannością o przejrzystość ekspozycji. I stoję chwilę bez słowa, wraz z mymi przewodnikami przed wielką pośmiertną maską wieszca, wylaniającą się z kamiennej bryły rzeźbionej dłutem Ksawerego Dunikowskiego. Malcy z pionierskiej grupy na schodkach znowu stają się sobą — wesolą, rozgadana dzieciarnią, jak wszystkie dzieci świata, gdy słońce świeci, gdy od trosk i kłopotów chronią je rodzice.

Jeszcze Kurhan Sławy na skraju miasteczka, usypany na cześć Mickiewicza, jeszcze wykuta w kamieniu „honorowa księga” zasłużonych obywateli Nowogródka, z nazwiskiem poety... I znowu samochód nurkuje nosem w stromiznę zalesionego wąwozu. Chłód starej puszczy... ileż wam wniemem o domowe drzewa. Przebogate tu lasy. Modrzewie i buki, sosny strzeliste, płatannina paproci wyskich, brzozy i wierzby pochylone nad krętym korytarzem leśnego strumyka. Gdzież tu macezniki niedźwiedzi, gdzie polany grzybne? Przesiekami biegną linie wysokiego napięcia, wyjeżdża ze wsi kombajn żniwny, dziewczyna w chustce na głowie, włosy jak dojrzała pszenica, opalona, nie równać z alabastrem licieci Telmeny. Dziewczyna wskakuje do kosa motocykla, chłopiec kopie rozrusznik, skręcają na drogę ku Switez...

A mnie trakt w inną stronę wiodzie. Niespodzianek pełen, widoków niezapowiadanych. Oto mury starego zamczyska, zza wzgórze nagle wylonione. Cztery baszty obronne, galeryjki i fosy suche, staw obszerne do części murów przylegające. Dziedziniec zamkowy rozległy, kwadratem ścian ze śladami komnat zamknięty. Ongiś — siedziba Radziwiłłów, później, w XIX wieku, w inne ręce przeszła. Sklepienia mroczne, schody kręte do zamkowych piwnic wiodące. Niewiele już takich zamków w tak dobrym stanie uchowało się na ziemiach Europy. U nas chyba z Krzyżtoporem, może z Niedzią dające się przyrównać. Zamek w Mirze — o nim tu mowa — poddawany jest właśnie pracom zabezpieczającym sklepienia komnat, krużganki, dziedzińce i fragmenty murów basztowych. Imponująco wylaniają się zza kępy drzew okalających staw. Do parku przyległe drewniane domki ze strzechą — dziesiątki lat przetrwały, jakby tymi murami wysokimi od burz i wichrów ochronione. Cisz. Czasem szum ptasich skrzydeł, gniazda na szczycie baszt mających. Czy ten zamek Hrabia malował? Nie szukam odpowiedzi na to pytanie, szukam miejsce, na które oczy poety kiedyś spoglądały.

Dobrze, że los i ludzie tych ruin oszczędzili, że tych miejsc strzegą — i cenną ludzkości o nich pamięć, o wiekach przeszłych, przekazują potomności. Bo nie hrabiów i książąt to dziedzictwo, a ludów i narodów, milionów ciałych, za które on — kochał i cierpiał...

Opodał zamkowego parku kolorowe namioty. Młodzi fizycy i chemicy, gdzieś od Kostromy i Leningradu, upodobali sobie te strony urocze i w drodze nad Bałtyk tu właśnie „na popas” stanęli, już tydzień minął, a im do dalszej podróży nie skoro. Jest gitara i pieśni Wysockiego, przewodnik po Nowogródzkiej Ziemi i kamera filmowa. Puszkin i Mickiewicz... i budują tu w narodzie ja lubiezen — „młodości, ty nad poziomy wylataj...”

Lublin? Ach, prawda — Lublin. Lipcowy Manifest. Był właśnie u nich wieczór literacki z okazji narodowego polskiego święta...

Słońce już zachodzi, dzień pełnia, okna zamku zalśnią w księżycowym blasku, jak w kryształ i złoto o-prawne. Bocian łazi po łące, nie straszy go szum dwupłatowego „AN-a”, który tuż nad ziemią swój ostatni lot dla celów agrotechnicznych kończy. W pomruk cichnącego silnika wplata się raptem dźwięk klepania kosy, szybki jak terkot ptaka.

Zniwa się zaczynają na nowogródzkiej ziemi.

UŻ po żniwach. Zakończono je wcześniej niż w latach ubiegłych. Bo pogoda sprzyjała, organizacja pracy była lepsza, racjonalniej wykorzystano sprzęt techniczny, nie brakowało części zamiennych do maszyn. Państwowe i uspołecznione służby technicznej obsługi rolnictwa dobrze zdały w tym roku egzamin. Przy okazji okazało się — po raz nie wiadomo który — że skuteczność działania zależy przede wszystkim od fachowości ludzi i ich poczucia społecznej odpowiedzialności. Owszem, wciąż jeszcze niedostatecznej, choć już poważnej liczby nowoczesnych maszyn rolniczych nie zrównoważy sama dobra wola pracowników kółek rolniczych czy POM-ów, ostatecznie nikt jeszcze nie kosił zboża etyką zawodową. Brak tego elementu może jednak zaprzepaścić wszystkie mądre plany przekształcenia naszego rolnictwa w gospodarkę wielkotowarową. Stosunek do roboty, do narzędzi pracy — to chyba równie ważna sprawa, jak wyposażenie rolnictwa w maszyny.

Spółdzielnia Kółek Rolniczych w Kamieniu w woj. chełmskim, obsługująca gminę o powierzchni zbliżonej do połowy obszaru dawnego powiatu parczewskiego, zakończyła żniwa w terminie, stając, jak to się mówi, na palcach: częste awarie sprzętu mocno zakłócały harmonogram prac. Spora w tym „zasługa” poprzedniego kierownictwa SKR, które po wiosennych remontach sprzętu i maszyn nie poddało tego inwentarza próbnym galopom. W rezultacie rzekomo sprawne, bo wyremontowane snopowiązałki wracały do warsztatów zaraz po pojawieniu się na polach. Mechanicy, którzy doprowadzali je do porządku, nie mogli zająć się młocarniami, które także wymagały uważnego spojrzenia. Do ich remontów przystąpili więc po żniwach, siłą rzeczy zaniedbując koparki do ziemniaków, które lada dzień powinny znaleźć się na polach. Zaczną w nich grzebać w okresie wykopków... Jak widać, zaniedbanie jednej sprawy powoduje trudności w innych rejonach, albo inaczej: jaki pan taki kram.

O gospodarności poprzedniej dyrekcji SKR w Kamieniu może też świadczyć sprawa wiaty dla ho-

dowli trzody chlewnej. Postawiono ją w tym roku kosztem półtora miliona złotych, korzystając z usług prywatnego przedsiębiorcy. Ten jegomość wykonał obiekt z desek i balii pokrytych korą, przybił do nich siatkę drucianą i po zainkasowaniu pieniędzy poszedł do domu. Sposób urządzenia wiaty kwalifikuje ją na wybieg dla dzikich koni, aby złapać jedną świnię — 20 ludzi biega za zwierzęciem po pofal-

którzy nie dość, że znają się na swej robocie, to jeszcze dobrze ją wykonują.

W latach pięćdziesiątych o traktorzystach śpiewano pieśni. Być traktorzystą znaczyło wówczas być kimś „Ursusy” wieńczyły poziom techniki rolniczej, przynosiły pieniądze i prestiż. Dzisiaj traktorzystów dyplomowanych jest sporo, ale niewiele z nich chce trząść się po polach: praca ciężka, a splendor nie-

do połowy bieżącego — już pół miliona złotych zaksięgowal po stronie „winien”. Czy mogło być inaczej, skoro miały rennowacje — na złom wyrzucano podniszczone części maszyn, nie troszcząc się zarazem np. o przyczepę, która ponad rok stała na piastach w widocznym miejscu, ani ziębiąc, ani grzejąc sumienie byłej dyrekcji?!

Dochód SKR w Białopolu przekroczył w minionym roku 400 tysięcy złotych, a wszystko wskazuje, że i w tym roku spółdzielnia wyjdzie na swoje.

Gospodarność to także rozmach, myślenie perspektywiczne. W Dubience oddano niedawno do eksploatacji cztery wiaty do hodowli trzody chlewnej i bydła. W porównaniu z tymi, które stoją w Kamieniu, przychodzi je uznać za przybytki wprost luksusowe. Murowane, o metalowej konstrukcji dachu, mieszczą 1300 sztuk trzody i 260 buhajków. Kosztowały niemal dwa razy tyle, co kamienie, ale stać będą dwadzieścia razy dłużej, a poza tym są wielofunkcyjne. Zbudowała je brygada remontowa tamtejszej Spółdzielni Kółek Rolniczych, powstałej w czerwcu bieżącego roku.

Rolnictwo otrzymuje coraz lepsze, cenniejsze i bardziej skomplikowane maszyny. Te narzędzia nowoczesnej produkcji rolnej o tyle spełniają nasze oczekiwania, a ile potrafimy je dobrze wykorzystać. Banalna prawda, owszem, ale wymagająca ciągłego przypominania, a przede wszystkim wcielania w życie. Z tym zaś bywa różnie. Tymczasem nawet czterdzieści tysięcy „bizonów” zapatrzonych w Bóg wie jakie systemy elektronicznego sterowania, nie przeobrazi polskiego rolnictwa w wysokowydajny system gospodarczy, jeśli oddamy je do dyspozycji ludzi, którzy nie mają poczucia odpowiedzialności za społeczne dobro. Pół miliona nowych „ursusów” nie pociągnie długo, jeśli oddamy je w ręce speców od polnych wyścigów na motorach marki WSK.

Rezerwy w rolnictwie — gdzie one tkwią?! Może właśnie jest ich najwięcej w sferze etyki zawodowej, fachowości i wrażliwości obywatelskiej pracowników rolnictwa...

T. G.

## DOBRY CZŁOWIEK NA „BIZONIE”

dowanym i wielkim terenie. Jeszcze ciekawiej wygląda tzw. budynek socjalny. W szpary w drewnianych ścianach można włożyć palce, futryny okienne i ramy wiszą jakby w powietrzu, wykończenie wnętrza jest gorsze od spotykanych w przeciętnej chlewni. Najciekawsze przy tym, że to „dzieło” zostało przyjęte bez zastrzeżeń przez Powiatowy Zarząd Kółek Rolniczych w Chełmie, która to instytucja, jak wiadomo, już dzisiaj nie istnieje. Szukaj zatem wiatru w polu, albo — co bardziej sensowne — w dokumentach byłego PZKR, które chyba nie rozplynęły się w administracyjnym powietrzu. Dodajmy na koniec, że owa „wiata” wymaga natychmiastowego remontu. Niełatwe ma życie nowy dyrektor SKR, Jan Stawicki, który trafił do Kamienia dopiero dwa miesiące temu i łamie sobie głowę, jakby tu zachęcić wszystkich traktorzystów do wzorowania się na Kazimierzu Sotelu, czy Ryszardzie Hulu,

porównywalnie mniejszy od tego jakiego towarzyszy kierowcom samochodów.

— Dobrych traktorzystów mamy niewiele, bylejakich przewija się mnóstwo — mówi dyrektor SKR w Białopolu, zawiadujący 43 ciągnikami. — Poza tym młody traktorzysta, bez większego doświadczenia w pracy na roli, niewiele może zarobić. Ale fachman wyciągnie i pięć tysięcy — dodaje Wiesław Peczek.

Ten SKR zasadniczo różni się od Kamienia. Zadbane obiekty, sprawne maszyny — oto pierwsza odmienność. Druga daje sporo do myślenia. Oto SKR, który posiada cztery kombajny, tak szybko uwinął się z robotą na własnym terenie, że mógł sobie pozwolić na wypożyczenie sprzętu i maszyn innym spółdzielniom kółek rolniczych, działającym w pobliskich gminach.

SKR w Kamieniu „dorobił się” w ubiegłym roku 200 tysięcy strat, a

DOWODY rzeczowe w tej sprawie dawno już uleciały w postaci spalin zanieczyszczających naszą wspaniałą atmosferę. Cała rzecz opiera się na zeznaniach, niektórzy zaś zmieniają swe wyjaśnienia — to przyzna się, to odwoła — obniżają podane pierwotnie kwoty „lewych” zarobków, próbują tańc swój udział, obciążają kumpła. Na 21 oskarżonych 19 jest niekaranych i posiadających dobre opinie w miejscu zamieszkania: stateczni obywatele, przeważnie ojcowie rodzin. Kilku miało samochody, a większość książeczki samochodowe, niektórzy po dwie, trzy, cztery, ale o tym dowiedziano się dopiero w czasie śledztwa. Przed sądem odpowiada 20 pracowników dwu stacji benzynowych i kierowca z Lubelskiego Przedsiębiorstwa Obrót Produktami Naftowymi. Oskarżeni są o zagarnięcie około 800 tys. złotych na przestrzeni paru lat. Wobec kilku osób toczy się odrębne postępowanie.

W sprawie niepokoił jej zbiorowy charakter oraz łatwość, z jaką spokojny i uczciwy do pewnego momentu człowiek może czasem skusić się łatwizną nielegalnego zarobku. Dwie z zamieszanych w nadużycia osób zgłosiły swe winy w ramach amnestii i wtedy rozpoczęło się śledztwo, posypały aresztowania, zajęcia dobytku na poczet ewentualnej przyszłej grzywny. Bo oni to robili chyba dla tych samochodów, dla tych książeczek oszczędnościowych PKO, tej biżuterii, no i dla tej wódki, której lubili się napić, bo kto dziś nie lubi — jak zwykli mawiać.

Jeśli kierowca jest zimny cwaniak, to w ten sposób ustawi gaźnik i aparat zapłonowy, iż „Zuk” zamiast dopuszczonych normą 15 l paliwa na 100 km spali tylko 10 l. Nie trzeba

więc nawet „podkręcać” licznika, żeby wygospodarować znaczne „oszczędności” benzyny. A że potem w przegrzanych stale silnikach „leczą” zawory i pękają głowice, to już Inna sprawa. Zatem posiada kierowca paliwo i teraz powstaje problem — „czy stacyjniak ma luz”. Ow „luz” polega na tym, że pewna część sprzedanej prywatnym odbiorcom benzyny nie jest przez pracownika stacji odnotowywana w specjalnym urzędowym formularzu, lecz gdzieś z boku na karteczce. Przejeżdża kierowca państwowego samochodu i pyta: „Jest coś?” „Jest!” — odpowiada stacyjniak. I wtedy kierowca albo w ogóle nie tankuje paliwa, a tylko bierze ze stacji rachunek, płacąc stacyjniakowi po 2-3 zł za fikcyjny litr paliwa (tzw. rachunek suchy), albo tankuje np. 10 l dla niepoznaki, a otrzymuje rachunek np. na 50 l płacąc odpowiednio za 40 fikcyjnych litrów, a także za 10 faktycznie własnych do baku (tzw. rachunek mokry).

W ten sposób pompiarze handlują rachunkami i są „kryci”, ponieważ benzynę sprzedaną bez rachunku prywatnym odbiorcom rozchodową jako sprzedaną na rachunek dla sektora uspołecznionego. Liczniki dystrybutorów i kasy zgadzają się. Umożliwia to nieuczciwym kierowcom wozów służbowych upłynięcie wygospodarowanych nielegalnie nadwyżek paliwa. Wystarczy tylko dopasować fikcyjne rachunki do kart drogowych i przedsiębiorstwo musi się ze swym kierowcą rozliczyć. Wszystko odbywa się przy pomocy papierkowo-gotówkowych machinacji, benzyna „zaoszczędzona” kosztem niszczenia silników zostaje sprzedana przedsiębiorstwu. Wprawdzie i drogą legalną, przy uważnej eksploatacji wozu, kierowca może zaoszczędzić benzynę, wykazać to i otrzymać od pracodawcy więcej niż przy machinacji z „lewym” rachunkiem, ale na ogół kie-

rowcy wolą nie wykazywać nadwyżek paliwa, ponieważ boją się obniżenia norm sytuacji na tym odcinku domaga się przemyslenia!

Taki był główny kant na obu stacjach. Trzeba przyznać, że panowie dzielili się pieniżkami dosyć lojalnie, tylko jednego podejrzewali, iż na własną rękę wyciąga coś z kasy. Obowiązki stały „taryfy”. Zimą fikcyjny litr paliwa kosztował drożej niż latem. Miesięcznie każdy ze stacyjniaków mógł „zarobić” co najmniej około 1500 zł. „Według mnie, takie same nadużycia ze sprzedażą fikcyjnych rachunków dokonywane są we wszystkich stacjach benzynowych na terenie Lublina, jak również na stacjach terenowych” — powiada jeden. „Pośród stacyjniaków panował pogląd, że nie ma w Polsce agenta, który by nie wystawiał fikcyjnych rachunków, dlatego nie było potrzeby rozmawiania na ten temat... Moim zdaniem, biorąc pod uwagę wysokość wynagrodzenia, jakie otrzymywaliśmy, żaden z agentów nie podjąłby się pracy, gdyby nie wiedział, że może dorobić i mieć jednocześnie możliwość pokrycia niedoborów” — dodaje drugi.

A przecież, będąc na procencie od obrotów (siągających w sezonie do 100 tys. zł dziennie), zarabiali legalnie 3-4 tys. miesięcznie. Ale komuś, kto kradnie, łatwiej widać żyć ze świadomością, iż wszyscy dookoła kradną również, choć przecie nie jest to prawda i trudno nawet dopuścić

myśl, że każda stacja benzynowa to siedlisko kantów i nadużyć.

Trzeba przyznać, że porządku panujące na tych dwu stacjach były bardzo swoiste. Pracownicy stacji tankowali swoje prywatne samochody, nie płacąc za benzynę. Tankowali albo po odłączeniu przewodu dystrybutora od licznika, albo prosto z tankowozów w porozumieniu z kierowcami cystern LPOPNI, którzy również posiadali jakieś nadwyżki i handlowali nimi. Mechanicy z LPOPNI, reperujący rozregulowane dystrybutory, także potrafili sobie za darmo utoczyć benzynę do kanistrów i zostawić ją na stacji do sprzedania.

Jeśli na stacji powstawał niedobór paliwa, a musiał powstawać w takiej sytuacji, to odbywał się tak zwany „chrzest”. Oto kierowca tankowozu LPOPNI „wygospodarował” 1000 l oleju napędowego wartości 7000 zł. Tenże olej sprzedał pompiarzom za 1000 zł. Ci zaś wiali całe 1000 l ropy do zbiornika z etyliną niebieską. Do etyliny żółtej wlewali niebieską prosto z tankowozów — znów w porozumieniu z kierowcami LPOPNI. W ten sposób nabywca zamiast etyliny 78 kupował mieszanek z ropą, zamiast etyliny 94 mieszanek z etyliną 78. Panowie wyrównywali niedobory, zarabiali pieniżki, a że samochody nabywców psuły się, to już drobiazg. Na tej zasadzie zatary się silniki dwu „Zuków” GS-owskich.

Jeden z kierowców takiego „Zuka” wziął się na sposób, utoczył „pali-

wa” ze zbiornika, słonecznym miejscu, że „paliwo” nie wycie i została tłusta domu. Zażalenie do badania laboratoryjnego chodzenie służbowe, węg zatuszowano, choć w silnikach i przeto trzeba było pokryć, prywatnej kieszeni.

Na jednej z dwu no akcesoriów „przelekajacymi” z chodów. Sprzedawano kradziony z przes kierowcę MPK. Raz rowca podjechał na nym olejem, natknął funkcjonariusza straż MPK, porzucił więc ale organa ścigania chodzi, i poszedł się, że potrącono mu ny za opuszczony d tem chciał sobie „ na ściekach oleju w ranego z dystrybutor dnia mieszanki do zna było dzienne złotych — kosztem wścieł

Atmosfera, w jakiej te nadużycia i w jak sprawa, jest bardzo lożnacza. Krąją plot wetneczna, iż ja LPOPNI pobierali lap ną kontrolę. Nie wi

# POMPIARZE







**D**O Szczecina przyjechaliśmy wczesnym rano. Pa-sznerowie zachowywali się różnie: jedni znikali w czeluściach dworca natchymias, inni stali na peronie trzymając dłonie na swoich pakun-kach, przerażeni ruchem, nieświadomi, jaki obrać kie-runek. Należałam do tej ostatniej kategorii, choć nie drżałam przed złodziejami, po prostu nie wiedziałam jak dotrzeć do wyjścia na miasto. Na razie nie my-slałam o tym co będę w tym mieście robiła.

Przez pół dnia objażałam się po dworcu, potem wy-szłam na daleki spacer. Wiedziałałam, że jestem w por-towym mieście, a port kojarzyłam z morzem. Chcia-łam je zobaczyć, po raz pierwszy w życiu zacerpnąć w dłonie słonej wody, obmyć nią twarz, posmakować. Szłam przed siebie szeroką ulicą wspinając się lekko pod górę. „Ku stołcu” — przeczytałam jej nazwę. Nie mogłam powstrzymać smutnego uśmiechu. „Wśród gru-zów”, „Ku zwątpieniu” — jakaś nazwa w tym duchu bardziej by pasowała. Zartowniś albo wielki opty-mista dojrzał tu jakieś skojarzenie ze stołcem. Obejr-załam „Waty Chrobrego”, przebrnęłam labirynt wąskich uliczek, przy których stały piękne wille otoczone ogródkami, po kilku godzinach dotarłam w okolice portu. Tam zatrzymał mnie wartownik.

— Ja chcę zobaczyć morze — tłumaczyłam mu jak komuś dobremu. — Port mnie nie interesuje.

— Tu nie ma morza.

— Przecież port...

— Morze jest o 65 kilometrów. Uciekaj, bo aresztuję.

Kiedy przypadkowi przechodnie wyjaśnili mi praw-dę, poczułam się oszukana, straciłam chęć do spa-ceru, zwiedzania miasta. Noc spędziłam w poczekalni dworcowej.

Następnego dnia wyszłam znów do miasta, ale w praktycznym celu. Chciałam znaleźć małą res-taurację, gdzie mogłabym zjeść gorące śniadanie, a następnie rozpocząć poszukiwania ludzi z moich ro-dzinnych stron. Gdyby w tej drugiej sprawie nie dopisało mi szczęście, postanowiłam zamieszkać w pierwszym wolnym mieszkaniu i starać się o pracę. Kilkanaście tysięcy złotych spoczywające w zamasko-wanej kieszonce mojej torebki zapewniało mi co naj-mniej dwa miesiące spokoju, choćbym musiała kupo-wać żywność bez kartek płacąc za nią paskarskie ceny.

Restauracja nazywała się „Wilejka”, jej właścicielem (sam mi się przedstawił) był niejaki pan Kazio, je-gomość z łysą czaszką i pokaznym brzuszkiem, niski, ruchliwy, gadatliwy. Trafiałam na moment pustki w lo-kalu, usiadłam przy stoliku tuż przy oknie. Poprosiłam o kielbasę na gorąco i herbatę. Pan Kazio sam mnie obsłużył, zagadał, ani się spostrzegłam, kiedy wy-ciągnął ze mnie wszystko, co chciałam wiedzieć.

— O robotę nie trudno, zewsząd wołają o ludzi — mówił szybko, z trudem łowiąc sens zdań, bo za-ciągał, często wtrącał niezrozumiałe, prawdopodobnie litewskie słowa. — A właściwie co panienka umie?

Plasnęła w rączki, kiedy mu powiedziałam o dwu-letniej praktyce w restauracji.

— Kukawko ty moja! Po co tobie szukać pracy, tu ją masz, u mnie ją masz! Nie za marne grosze, za tysiące, a co w kieszeń wpadnie to twoje. Jedzenia ci nie braknie, o mieszkanie się postaram.

Uciekłam z restauracji, przejechałam setki kilome-trów i do restauracji trafiłam. Widać taki mój los.

Lokal otwierano o ósmej, ale ja musiałam być w pracy od siódmej, pomóc przy rozpaliu ognia pod kuchenną płytą, porcjowaniu śniadań, upiększaniu stolików.

O ósmej zaczął się obłęd. Zwał się tłum robot-ników budowlanych (tych zawsze można poznać po ubiorach), urzędników pragnących „pokrzepić się” przed pracą i ludzi o trudnym do ustalenia zawodzie. Biegłam niczym wiewiórka od stolików do baru, do kuchni, byle przedrzeć, byle nie pomylić zamówień, bo będzie nieszczęście. Około dziesiątej ruch w interesie malał, niekiedy zanikał. Wtedy miałam czas na śnia-danie. Muszę przyznać, że pan Kazio był hojny, nie liczył kromek na talerzu.

Miałam własne mieszkanie przy ulicy Armii Czer-wonej. Własnoręcznie wybieliłam ściany (kredy do-starczył nieoceniony pan Kazio), zawiesiłam w oknach firanki, mieszkałam. Być może tą drogą szłabym dalej przez życie, gdyby nie znajomość z Adamem Zalew-skim. Stołował się u nas, należał do tej kategorii gości, którzy wzbudzają szacunek, choć nie przynoszą zysku. Po pewnym czasie wiedziałam już, że jest nauczycielem w pobliskiej szkole, żyje samotnie, jest zakochany w starych budowlach Szczecina i im po-święca wszystkie wolny czas. Któregoś dnia powiedział, że chętnie by ze mną porozmawiał. Wieczorem po-kazywał mi ruiny renesansowego zamku książąt szczecińskich, barokowe bramy Piastowską i Portową, mówił o uczeniu o historii miasta oraz bardziej zro-zumiałe o zniszczeniach wojennych. Potem, bez żad-nego wstępu, powiedział:

— Pewnie, że i w restauracji można pracować, ale jakie tam masz perspektywy? — zamilkł na długo, a ja poczułam się nieswojo.

— Nie myślałam o tym — przerwałam milczenie. Prawdę mówiąc, nie miałam czasu zastanawiać się nad perspektywami. Cokolwiek by człowiek myślał i tak żyć musi, a żeby żyć, trzeba pracować i jeść.

— Zmarnujesz się w tej budzie. Przyjdą inne czasy, pan Kazio, być może, wkradnie się w nie z masą forsy, ale ty zostaniesz na lodzie. Teraz jeszcze tego nie rozumie. Nie myślisz o tym, że tutaj mogą cię polubić, no, tacy jak ja, ale dla ogółu bywałców zo-staniesz zawsze kelnerką i nie zabronisz im rozbierać cię oczami, poklepywać, namawiać do grzechu. Każdy większy napiwek to zapłata za twój uśmiech i za to co im podpowie ich paskudna wyobraźnia. Powinnaś co im podpowie ich paskudna wyobraźnia. Powinnaś zmienić pracę, popołudnia przeznaczyć na naukę. Je-ścis jeszcze młoda.

Niezręcznie pocałował mnie w rękę, odszedł szybko, jakby w obawie, by nie powiedzieć więcej.

Postanowiłam: pracuję u pana Kazia do rozpoczęcia nowego roku szkolnego 1947—1948, w tym czasie Adam

przygotuje mnie do egzaminu. Rozpocynam nowe ży-cie!

Adam przyniósł do mego pokoju reprodukcję obrazu, który przedstawiał młodą, ładną kobietę, siedzącą na skale. Kobieta miała rozpuszczone włosy. Adam po-wiedział, że to Lorelei. Powiesiłam obraz na honoro-wym miejscu i od razu pokój stał się bardzo przy-tulny.

Adam przyniósł mi kilka książek i nauczył je czytać...

Adam zaprowadził mnie do kina. Szedł film o ko-biecie, która była wierna mężowi i czekała na niego wierząc, że jej ukochany przeżyje front...

Adam mnie pocałował...

Zakochałam się bez pamięci, po raz pierwszy w ży-ciu, ale gruntownie, bez reszty, do samego dna, a zakochaną kobietę na wiele stać. Aby wywołać uśmiech na jego twarzy, gotowa byłam nauczyć się nie tylko gramatyki, historii Polski czy równań z jed-ną niewiadomą...

Co za wspaniałe uczucie — kochać!

Adaś nie usiadł przy stole. Mrugnął do mnie po-rozumiewawczo, poszeptał z panem Kaziem i odszedł bez obładu. Musiało to być coś niemiłego, bo mój szef aż do wieczora chodził jak struty. Zatrzymał mnie po pracy.

— Nie spiesz się — poprosił. — Już nie musisz się spieszyć. Do naszego profesora przyjechała żona, ka-zał cię uprzedzić, że nie może cię nadal uczyć, ani się z tobą spotykać.

Podarłam na drobne kawałki Lorelei, pocięłam no-żem wszystkie książki, stłukłam naczynia jakie tylko wpadły mi w rękę i wyszłam z pokoju zostawiając otwarte drzwi. Wyjechałam ze Szczecina pierwszym osobowym pociągami, by wylądować w Głęboku. W gospodarstwach Państwowych Nieruchomości Ziem-skich też potrzebni ludzie.



Adolf Lekki

Szeleżka wśród ruin doprowadziła mnie do małego placu, na którym stał wrak czołgu T-34. Na osma-lonej pożarem, później porzuceniu burcie nie można przeczytać numeru taktycznego, ale czerwona gwiazda widoczna była doskonale. Być może ktoś ją odnowił. Przeszłam obok wraku, przecięłam plac, krótką ulicz-ką dotarłam do parku. Wysokich drzew nie było tutaj wcale, wycięto je może na opał, lub na zapory prze-ciwczołgowe, cień dawały jedynie rozłożyste krzewy bzu, jeszcze skąpo zieleniące, z ledwo zaznaczonymi pękami kwiatów. Jak na pierwszego maja było sta-nowczo za gorąco.

Położyłam się na wolnej ławce, buty postawiłam tuż obok głowy, torebkę trzymałam na piersiach, przymknęłam oczy. Nie wiem jak długo odpoczy-wałam, być może zdrzemnąłam się, potem, zbudzona skrzyknięciem ławki, nie potrafiłam sobie uprzytomnić gdzie jestem, skąd ta orkiestra i tłumy wypełniające wszystkie aleje.

Chorążowie nieśli na ramionach zwinięte sztandary, chłopcy i dziewczęta w niebieskich koszulkach, w czerwonych krawatach, dźwigali pęk szturmówek, ani dbając o to, że drzewcami godzą w plecy poprzedza-jących ich ludzi — cała ta fala parła do przodu, roz-pływała się na boki.

— Koniec pochodu — powiedziałam do siebie pół-głosem.

— Tak, koniec pochodu, teraz nadszedł czas picia i zabawy.

Na skraju ławki siedział czarnowłosy mężczyzna, o twarzy suchej, opalonej, jakby zagniewanej. Ubrany był nieco dziwnie: drellehowa bluza Wojska Polskiego z trzema belkami na naramiennikach i licznymi odna-czeniami bojowymi, wypuszczona na kamgarnowe spod-nie amerykańskie, którymi niemal w każdej paczce obdarowywała nas UNRRA, na nogach miał buty „saperki”, co przy panującej temperaturze dziwiło. Zauważył, że go lustruje, uśmiechnął się.

— Ubiór, można powiedzieć, sojusznicy, prawda?

— Każdy się ubiera jak może.

— Racja. Jak ci na imię?

— Agnieszka.

— A mnie Antoni. Tak więc zawarliśmy znajo-mość. Jesteś tujejsza? Nie, raczej nie — odpowiedział sam sobie.

— Czy to widać?

— Jeszcze jak. Tutejsza nie zdjęłaby butów, nie le-żała na ławce. Przyjechałaś na manifestację, a sądząc po stroju zostałaś zaproszona, podobnie jak ja.

Z okazji wyjazdu do Pyrzyń włożyłam mój mundur łącznościowca. Nikomu nie załmonowałam, bo więk-szość uczestników była w mundurach, a naraziłam się na spektakl. Uwaga Antoniego przypominała mi moje gołe nogi. Zrezygnowałam z pończoch, zaczęłam na-ciągać buty.

— Chodź — powiedział kiedy byłam gotowa.

— Dokąd?

— Trzeba coś zjeść. Organizatorzy zaprosili nas tylko dla frekwencji, teraz już ich nie obchodzimy.

— Mam kanapki.

— A ja mam to... — z kieszeni spodni wydobyl płaską butelkę, napełnioną żółtawym płynem. — Nie-stety, nie ma kieliszków, musimy wypić z butelki. Masz.

Pociągnęłam potężny łyk wiedząc, że jestem obser-wowana. Nawet się nie zdziwił. Widocznie mój mundur wprowadził go w błąd. Nie wiedział, że w wojsku byłam zaledwie osiem miesięcy, że nie wi-działam frontu, nie styszałam wycia pociągów, nikt nie konał na moich rękach. I nie wiedział o moim ponad dwuletnim doświadczeniu kelnerki.

Potem on wypił, ją rozłożyłam kanapki na kawałku papieru i było mi przyjemnie widzieć jak je i żar-ciłam siebie w duchu za tę gościnę i nie chciałam żeby odszedł i czekałam co powie za chwilę.

— Gdzie mieszkasz?

— W Głęboku.

— Ja w Lipianach, jesteśmy niemal sąsiadami. Czy spotkamy się jeszcze?

— Nie wiem.

— Jeśli nie masz nic lepszego do roboty, to chodź ze mną. Chcę tutaj coś sprawdzić.

— Mnie wszystko jedno — odparłam rada z jego propozycji.

Znał miasto, bo prowadził pewnie, nikogo nie pytał o drogę. Zauważyłam, że kuleje, więc zapytałam o przyczynę.

— Nie wielkiego — chciał mnie okłamać uśmie-chem — zgubiłem po drodze lewą nogę, aż do ko-lana. Można z tym żyć.

— On ma protezę! — krzychało we mnie. Stąd te nadmierne wielkie saperki!

— Jak się to stało?

— Nieważne — uciął. — To powinno być gdzieś w pobliżu — mówił do siebie. — Jak mogłem za-błądzić.

— Co powinno być? — Nie chciałam, żeby zapomniał o moim istnieniu, pytaniem chciałam go zmusić do rozmowy.

— Miejsce, gdzie zginął mój serdeczny przyjaciel. Służyliśmy razem w II Dywizji Artylerii Wojska Pol-skiego, wraz z oddziałami armii generała Batowa walczyliśmy tutaj, zdobywaliśmy Szczecin. Przejdźmy nieco dalej.

— Wielu zginęło... — powiedziałam.

Popatrzył na mnie jak gdyby zdziwiony, jakby się nie spodziewał po mnie takiego banalu, zmarszczył brwi. Ruszył bez słowa wpatrzony w grzy. Czyżby po tylu latach chciał odnaleźć ślady krwi? A może odtwarzał w pamięci twarz przyjaciela?

— Miał zaledwie dwadzieścia lat, o niczym nie de-cydował, ze wszystkiego się śmiał. Był chętny do posług, to też wyręczał się nim kto tylko mógł. „Ro-muś, wypierz gacie” — i Romuś prał „Romuś, za-stąp mnie na warcie, zorganizuj coś do żarcia”. „Nie-ma cię, chłopie, już się nie roześmiesz” — rozumia-łam, że Antoni rozmawia z tamtym zabitym przyja-cielem, nie przeszkadzałam mu, nie wtrącałam ani jednego słowa, ale słuchałam całym sercem.

— Wybacz, stary, że żywy depeczę to miejsce, że to mnie cholernie cieszy. Ty też kochałeś życie, ty mnie rozumiesz. Gdybyś wiedział, jak dobrze żyć bez stra-chu, bez tego obrzydliwego uczucia, kiedy nogi sa-me się uginają i chciałoby się wkopać aż do środka ziemi, albo uciekać gdzie oczy poniosą. Dla ciebie, Ro-muś wszystko się zatrzymało, a ja idę naprzód choć na jednej nodze. Zapytasz, po co wróciłem na to miejsce? Odpowiem ci: chciałem ponownie zobaczyć siebie z tamtych czasów, odnaleźć mój strach, moją odwagę. Nie, nie odnalazłem. Widocznie nikt z nas nie potrafił dwukrotnie przeżyć jednego wydarzenia. No, żegnaj, stary. Leż spokojnie, nie dopuścimy, by zagasała pamięć o tobie.

Antoni umilkł, jeszcze przez chwilę błądził myślami po tamtych czasach, wreszcie ruszył w stronę rynku. Nawet nie spojrzął w moją stronę, a jednak wiedział, że postępuje za nim krok w krok.

— Wybacz — powiedział nie odwracając głowy — wygłupiłem się z tą rozmową z cieniem. Czasami miewam takie napady.

— To nie było głupie — zaprotestowałam żarliwie. — To było piękne, choć...

— No?

— Ja tak nie potrafie.

— To i lepiej. Nasi zmarli czy zabici krewni i przy-jaciele nie powinni nam przeszkadzać w życiu. Mój Romuś, ten wspaniały wesołek, kończy się rozkładanie w ziemi, może pod tymi gruzami, może ktoś przenosił jego ciało w inne miejsce. On już spełnił swoją rolę, my jeszcze nie.

— Ciężko tutaj było?

— Cholernie, ale dosyć o wojnie, dosyć wspomnień. Mam ochotę na piwo.

Na rynku, na głównej ulicy i obok parku stały sa-mochody-bary. Sprzedawano w nich porcje wędliny, pieczywo, napoje chłodzące. Antoni zatrzymał się przy jednym.

— Chcesz piwa?

— Chętnie.

— Poproszę dwie butelki — krzyknął do sprzedaw-czyni.

Fragment powieści  
„Noc nad jeziorem”

acji. Młodzieżowej współczesności na pewno nie da się włożyć do jednego worka i na pewno nie trafne są o niej same oceny negatywne, ale jest coś, co z pewnością obejmuje ją całą wspólnym konturem i z pewnością światłem ujemnym: formy obyczajowe. Młody chłopiec w koszuli z wydrukowaną gazetą, dziewczyna na bluzce ma wypisany „seks”. Oczywiście, że Jerycho się od tego nie zawałi, rzecz zasługuje na uśmiech poślania, ale kiedy zaczęliśmy się zastanawiać nad przyczynami, a psychologiczna penetracja dochodziła do

nie wychodzi poza jej obyczajowy sztafaż, poza grę i zachowanie się narzucone przez środowisko, a przez niego przyjęte za swoje, kiedy całkiem dobrze się czuje w tym garniturze postępowania i leksyki, nie próbując własnego, może być ciekawy, może być autentyczny, ale nie jest znaczący polemicznie. Nie spełnia złoczonej mu przez autora roli. To dryfowanie po obszarze samotności może być przyjęte jako jednostkowy psychiczny happening, jako gest w stylu wzgardzonej, czy tylko zbagatelizowanej grupy.

Ależ tak, Lothamer chciał: primo — uniknąć lopotologii, secundo — uwiecznić problem, bohatera, sytuację.

sluszną ideę można artystycznie uargumentować.

O tradycji już trochę było. Nie w tym sensie, żeby pisać na jej przedłużeniu, co byłoby oczekiwaniem absurdalnym, nie tylko z powodu, że tak wyraźne opozycje (często merytorycznie pozorne, więc tym ostrzejsze personalnie) powstają na przestrzeni lat kilku. Ale nolens volens pewne motywy nie przestają dźwięczeć, dopóki glob ziemski okupuje ten rodzaj istoty myślącej. Ponadto istnieje teraźniejszość. Istnieje potrzeba na filozoficzne tej teraźniejszości wyjaśnienie. Tymczasem literatura coraz ściślej zawęża zakresy swoich zainteresowań, tracąc szerokość odniesień i interpretacji. Tracąc również generalne spojrzenie na zjawiska, ten jakiś ogólny z wysoka. Nie o koturny chodzi, o generalia. Wśród nich nie mogą nie znajdować się kryteria może trochę naiwne, trochę umownie nazywane zasadniczymi. Mimo że przestała istnieć instytucja rządu dusz i zawód tychże dusz inżyniera, nie można nie oczekiwać od słowa napisanego pomocy w psychicznym i intelektualnym wzrastaniu. A bardzo często mamy podszewkę, margines, aut. Również one są składnikami naszej rzeczywistości, tak. Ale gwoźdź prawdy, choćby drastycznie sformułowanej, warto zauważyć, że tak chętnie bywają przyjmowane jako temat literackich utworów przez fakt, że są intelektualnie tak mało wymagające.

Lothamer podjął ambitną próbę. Ale próbę, by trafić nie w środek: w średniość. Jego bohater-ja wyszedł poza „układy”. Nie wyszedł poza obyczajową i moralną poetykę swego środowiska. Obawiał się, że zostanie „nieczytelny”. I tę czytelność autor mu umożliwił również warstwą stylistyczną. Zawiera ona wiele witalności słowa, wiele niekiedy urody, rozkwitów. Ale dlaczego popsuł je zapożyczeniami. Oto: „była, co tu gadać, bardzo przepiękna”, „zwarowała od tego słońca co w dzień było”, „on miał swoje plany już miał takie swoje plany”, „w pierwszej i drugiej klasie szkoły powszechnej miał samę piątki”, „poczuł, że coś się w nim gotowe zawałiło, coś bardzo ważnego i wszystko wokół też może się zawałiło, tak jakoś to właśnie poczuł”. Skąd my to znamy? Z tym stylistycznym przeszczerpem całkiem słusznym, że kiepsko się czuje organizm tej niezłej, a tyle tu natarmonzonej książki.

Zygmunt Mikulski

Henryk Lothamer: „Dlaczego tak, dlaczego nie”. Książka i Wiedza, 1974, str. 226, cena 26 zł.

## PROTEST NA „TAK“

wniosków niezależnie od rozmiaru obserwowanych zjawisk, to przy jakim wniosku jesteśmy? Ze młody człowiek nie ma tego, co się nazywa treścią. Nie ma siebie. Jest cały w zewnętrznej oryginalności i tym się zapisuje w społeczeństwie. Kiedyś mówiło się o zagubieniu, o poczuciu niepewności spowodowanym przez zagrożenie bombą atomową. Horyzont polityczny się przejaśnił, a w świadomości tego pokolenia zakwitła „filozofia dyskotek”. Minimalizm światopoglądowy. Więc z jakiej pozycji pokoleniowy bunt?

Młoda literatura jest „pokoleniowo autotematyczna” i swoje problemy rozgrywa w języku tego środowiska. Właśnie w tym szkopol. Bo język determinuje myśl, sposób bycia, filozofię. Zaczniemy mówić po holendersku, zobaczymy, czy nie zaczniemy po holendersku myśleć. Więc kiedy nawet autor, jak Henryk Lothamer w „Dlaczego tak, dlaczego nie”, prezentuje postawę opozycji wobec miłośności swojego otoczenia, ale czyni to w tegoż otoczenia terminologii, postawa siłą rzeczy przechyla się ku pozycjom kwestionowanym. Ściągana przez język, czyli sposób myślenia nihilizujący jej wartościową treść. Narrator i bohater tej powieści ma być przyjęty przez czytelnika jako outsider, jeśli nie oponent swej generacji. Nawet trochę więcej niż generacji. W każdym razie współczesności. Ale kiedy

Chciał przedstawić godną aprobaty jednostkę (dawniej mówiło się: bohatera pozytywnego) bez ułatwionej, więc nie przekonującej moralistyki. Wpisać ją w realia rzeczywistości, a nie schematycznych fantomów. Zrobił w tym kierunku sporo. Ale właśnie słabością współczesnej młodej literatury, a może i bezwładem takich-że nawyków czytelniczych, jest wciąż jeszcze działające „malorealistyczne obciążenie”. Ta nieprzepracowana, jedynie godna zaufania filozofia, że „życie jest średnie”. Dlatego nieprzekonujące byłoby, że bohater jest dobry. Musi być trochę lepszy. I ta lepszość więcej musi wynikać z życiowych determinant, ze stanów rzeczy, z „układów”, niż z postanowień samego bohatera. Bo inaczej wyglądałoby na to, że zadziera głowę, a wtedy żegnaj czytelnicza aprobatę. Często musi pójść dokądś, ot tak sobie, nie wiadomo po co, odpowiadać na pytania nie wyjaśniając kwestii, a nawet strzelić kogoś w pysk. Później okaże się, że ten ktoś na strzelenie w pysk zasługiwał i jest uratowana słuszość moralna, ale ty czytelniku masz, czego chciałeś: aczkolwiek w ostatecznym wyniku nie bez racji, to jednak bohater działał odruchem. Oto we współczesnej prozie obawa przed stanowiskiem, obawa przed indywidualnością. Nie ma pozytywnych. Są tylko nie — negatywni. I tylko takim

# KARA MUSTAFA POD WIEDNIEM

**W**YDAWNICTWO Literackie postawiło sobie ambitny cel zapoznania polskiego czytelnika z najciekawszymi pozycjami piśmiennictwa muzułmańskiego z XVII i początku XVIII wieku o wyprawie wielkiego wezyra Kara Mustafy paszy na Wiedeń w 1683 r.

Wartość wydanych kronik muzułmańskich polega nie tylko na dostarczeniu informacji, ale przede wszystkim na ukazaniu we właściwym świetle faktycznego wkładu Polski i jej roli w odległej wiekowskiej, przedstawionej dość często przez niektórych historyków w Austrii, a za ich przykładem także w innych krajach, z krzywdą dla króla polskiego i Polaków.

Sądzę, że właśnie owi kronikarze muzułmańscy mogą pogodzić badaczy. Oni to bowiem, czasem naoczni świadkowie, piszą wyraźnie i przekonująco o zasługach Jana III i wojska polskiego w rozgromieniu armii tureckiej pod Wiedniem. Oto na przykład jak oceniał poczynania Sobieskiego autor kroniki „Probiez państw i sonda narodów”, Dżebdi Hasan Esiri:

Roku tego król siedmiogrodzki wyświadczył Wysokiemu Państwu (Turcji)

## PRACE ANGLISTYCZNE LUBELSKIEGO TOWARZYSTWA NAUKOWEGO

**W**SERII monografii Lubelskiego Towarzystwa Naukowego ukazał się ostatnio tom rozpraw anglistycznych Lubelskiego Ośrodka Naukowego. Publikacja ta została przygotowana na 10-lecie anglistyki UMCS, istniejącej jako kierunek studiów od 1964 r. Redaktorem omawianej pozycji jest dyrektor Instytutu Filologii Angielskiej UMCS — prof. dr Henryk Zins.

Tom zawiera trzynastę rozpraw, ich autorami są pracownicy Instytutu Filologii Angielskiej UMCS, a także uczeni amerykańscy związani niegdyś z naszym uniwersytetem — G. H. Williams i M. Gilliland. Prace te dzielą się bardzo wyraźnie na trzy grupy tematyczne.

Pierwsza z nich charakteryzuje wybrane zagadnienia z zakresu stosunków Polski ze światem anglosaskim.

I tak Michał Rożbicki kreśli sylwetkę Wacława Borowego — historyka literatury i autora szeregu bardzo wartościowych prac anglistycznych (np. rozległa monografia poświęcona G. K. Chestertonowi i eseje o T. S. Eliocie). Autor zwraca uwagę na badania przez Borowego wczesnych stosunków polsko-angielskich. Charakteryzując grupę je według następujących tematów: związki kulturalne w XVI i XVII w., kontakty dyplomatyczne oraz zagadnienia obecno-

ści Szkotów w Polsce w XVI i XVII stuleciu.

Henryk Zins omawia zagadnienie wolności mórz w polsko-angielskich polemikach końca XVI wieku. Autor śledzi szczegółowo rozwój kontrowersji na ten temat w latach 1594—1597. Anglia kontynuująca blokadę hiszpańskich, zatrzymywała wszystkie statki dopływające tam z żywnością i bronią. To między innymi wpłynęło na stosunki handlowe Polski z Hiszpanią, kierując na interesujące tory debaty między dyplomatami Anglii i Polski w sprawie wolności żegluga na morzach. Spór na ten temat poprzedził więcej niż o dziesięć lat dysputę między holenderskim dyplomatą i uczonym, Hugo Grotiussem, a angielskim mężem stanu, Johnem Seldenem. Koncepcja Grotiusa dotycząca swobod żeglowania była bardzo istotna dla rozwoju doktryny wolności mórz. Anglo-polskie polemiki końca XVI stulecia stanowiły jeden z wcześniejszych etapów powstawania antagonizacyjnych doktryn.

Krystyna Kwiatkowska-Wolanin ocenia stan badań w sferze recepcji dzieła „De Optimo Senatore” Wawrzyńca Goślickiego w Anglii i innych krajach anglosaskich. George H. Williams skupia swą uwagę na okolicznościach towarzyszących pojawieniu się w Ameryce Płn. pierwszej książki napisanej przez polskiego arianina — Stanisława Lubieniec-kiego. Alina Szala przedstawia pierwsze polskie książki podróżnicze opisujące Amerykę Płn., które ukazały się zresztą

dość późno, bo w latach 60-tych XIX stulecia. Autorka prezentuje również prace polskich emigrantów: Siońskiego, Gordona i Wolskiego, opiewających w swych dziełach wspomniany kontynent.

W drugiej części pojawiają się artykuły omawiające zagadnienia związane z historią literatury i kultury Anglii. Marszał Gilliland zastanawia się nad definicją pojęcia „człowiek” i niemożliwością ujednoczenia jej. Daje przykład literatury pięknej jako tej dziedziny sztuki, w której najwyraźniej widać odbicie wpływów na istotę ludzką, jej dążeń, pragnień i nadziei. Grażyna Bystydzka zajmuje się poezją heroldomiczną, gatunkiem bardzo popularnym w XVII-wiecznej Anglii. Analiza tematu jest ciekawa i interesująca, bo do tej pory gatunek ten nie doczekał się opracowań — jeśli chodzi o utwory angielskie.

Andrzej Zgorzelski przedstawia fragment większego studium na temat rozwoju utopii fantastyczno-naukowej. W artykule Marty Wiszniewskiej zawarta jest próba przedstawienia twórczości Joe Ortona (1933-67), mistrza komedii obyczajowej. Leszek Kolek ukazuje próbę jednolitej analizy „Kwartetu Aleksandryjskiego” Lawrence’a Durrella. Przedstawia te cechy utworu, które mogą scharakteryzować go jako „powieść idej”. Do cech tych zalicza między innymi techniki narracyjne, styl, elementy fantazji i groteski.

Trzecią i ostatnią grupę prac otwiera artykuł Waleriana Swieczkowskiego, omawiający nieznaną prawie problematykę zdaniową we frazach polskich i angielskich. Tradycyjni lingwiści usiłowali przekonać o istnieniu diametralnych różnic. Analiza Swieczkowskiego wykazuje, że poglądy te nie są słuszne, bowiem język polski posiada możliwości swobodnego szyku, podczas gdy język angielski stosuje bardzo wiele konstrukcji nie podawanych w podręcznikach gramatyki. W rezultacie podobieństwa są tak uderzające jak różnice. Edmund Gussmann daje próbę porównania teorii zmian brzmieniowych, opisując stopniowość i typy zmian fonicznych i fonologicznych, lingwistykę strukturalną przeciwstawia generatywnej. Celem pracy Macieja Pakosza jest zaprezentowanie zastosowań współczesnych badań lingwistycznych do studiów metrycznych. Autor przedstawia również osiągnięcia teorii generatywno-transformacyjnej.

Jak wynika z prezentowanych tematów, „Studia Anglistyczne” mogą wywołać zainteresowanie nie tylko wśród specjalistów, ale także wśród nauczycieli oraz szerszego grona odbiorców.

Lucyna Pomorska

Studia Anglistyczne Lubelskiego Ośrodka Naukowego, pod red. Henryka Zinsa, Warszawa 1975, s. 172 — (Lubelskie Towarzystwo Naukowe, Prace Wydziału Humanistycznego, Monografie t. III).

wielką usługę oraz okazał wiele szczerego oddania. Natomiast Polacy, Madziarzy i Chorwaci którzy korzystali z łaskawości Wysokiego Państwa tudzież pokoju z nim... odplacili się niewdzięcznością za okazane im dobrodziejstwa i zapominając o zapewnionym im spokoju poparli Niemcy i okazali im pomoc. Król polski zaś nadciągnął sam we własnej osobie, mając prócz innego wojska jeszcze szesnastą tysięcy żelaznej jazdy. Pod Wiedniem on pierwszy popędził konia na muzułmanów i dobył szabli, zaś następnego roku, podczas oblężenia Ujvaru i wydarzeń pod Parkanami narobił złego o tyle, że najwięcej ze wszystkich on dał pomocy i wsparcia Niemcom tudzież zagarnął wielu muzułmańskich jeńców".

Książka „Kara Mustafa pod Wiedniem” składa się z trzech części: pierwsza z nich to studium pióra Zygmunta Abrahamowicza na temat osmańskich i krymskich królów do dziejów wyprawy wiedeńskiej, druga — przekład polski kronik muzułmańskich i czterech listów Kara Mustafy paszy z 1683 r., trzecia wreszcie — słownik terminów orientalnych.

Cztery kroniki — „Problez państw i sonda narodów” Dżebedżiego Hasana Esiriego, „Kronika” Silahdara Mehmeda agi z Fyndyky, „Historia wyprawy wiedeńskiej” Husejna Hezarfenna i „Kwintesencja wydarzeń” Defterdara Sary Mehmeda paszy — wyszły spod trzciny, trzcinowego pióra autorów osmańskich, jedna — „Historia Mehmeda Gereja” — spod trzciny pisarza krymskiego.

W kronikach czuje się wyraźnie zapach Wschodu i specyficzną mentalność jego mieszkańców. Oto dla przykładu fragment tekstu o wykonaniu śmierci na niefortunnym dowódcy spod Wiednia, Kara Mustafie paszy:

Sądzona nam śmierć? — (zapytał przybyłych wielki wezyr). Nie inaczej! Niech Allah nie pozwoli, abyś utracił wiary! — brzmiała odpowiedź. Wola Allahowa! rzekł wielki wezyr. Połem kazał rozesać kobierzec do modlitwy, a gdy tamci wyszli z komnaty, odprawił namaz południowy (modlitwę południową). Wszystko to nie wywarło na nim najmniejszego wrażenia. Zmówił jeszcze tylko krótką modlitwę, przeciągnął rękami po twarzy, po czym rzekł do swojego paiza: — Teraz wyjdźcie, a nie zapominajcie o mnie w swoich modlitwach. Potem własną swoją ręką zdjął z siebie futro i zawój oraz powiedział: — Niech przychodzą... Kaci weszli, a gdy już przysposobili sznury, wielki wezyr własnymi rękami uniósł sobie brodę i, pogodzony z losem, powiedział: — Tylko dobrze załóżcie! Ci założyli sznury i dwakroć ściągnęli, a wtedy on wyzionął ducha. Potem zdjęli z niego odzienie i znieśli go do starego namiotu na dziedzińcu seraju (pałacu). Tam go obmyto, owinięto w całun, a wyniosłszy go stamtąd odprawiono nad nim namaz.

Następnie wniesiono go z powrotem do owego namiotu, a gdy już leżał w trumnie, kał zdarł mu skórę z głowy. Następnie żułki jego pogrzebano.

List Kara Mustafy do księcia badeńskiego Hermana obnaża zakłamanie polityki wielkiego wezyra, który głównie z powodów ekonomicznych sam postanowił uderzyć na Wiedeń, tu jednak stara się usprawiedliwić swój krok zwalając winę na cesarstwo i przedstawiając je jako wiarołomnego gwałciciela pokoju z Portą. Dwa inne — do mieszkańców miasta Sopron i do ludności Wiednia — Ilustracją osmańskie, czy raczej w ogólności muzułmańskie metody wojny i podboju. Czytając te listy, zwłaszcza do księcia badeńskiego Hermana i do wiedeńczyków, warto sobie uzmysłowić, że podobnie brzmiały listy tureckie do królów polskich i komendantów twierdz na południowo-wschodnich rubieżach Rzeczypospolitej. Ilekroć wojska muzułmańskie przekraczały granicę. Zaprezentujmy tu bodaj fragment jednego z tych listów:

Wobec tego, że w prawie pana rodu ludzkiego istnieje zasada: Przed mieczem — propozycja islamu — pisał Kara Mustafa pasza do dowódcy i ludności Wiednia — proponujemy najpierw wam we własnych waszych osobach islam. Jeżeli staniecie się muzułmanami, będziecie ocaleni. Jeśli nie stając się nimi poddacie zamek bez walki, to zastosujemy się w nim do przykazania Allaha: małuczkim z was ani wielmożom, bogatym ani biednym wyrządzona nie będzie żadna krzywda — wszyscy będziecie żyć w bezpieczeństwie i pokoju. „Natomiast jeśli się będziecie sprzeciwiali i stawiali opór, wówczas z łaski Allaha Najwyższego zamek Wiedeń zostanie przemożną potęgą padyszacha zdobyty i opanowany, a wtedy ani jednej osoby nie oszczędzi się i nie pożałuje, lecz woli Allaha Najwyższego, który stworzył ziemię i niebiosa, a żadnych współników nie ma — wy sami będziecie wyrznięci, mienie wasze i zapasy żywności będą złupione, zaś wasze dzieci pójdą w jasyr.

Zygmunt Abrahamowicz zdawał sobie doskonale sprawę, że współczesny czytelnik może natrafić na poważne trudności w rozumieniu omawianych tu spraw, pojęć i postaci. Stąd niezwykle staranne opracowanie komentarza merytorycznego i filologicznego. Książka jest obficie ilustrowana reprodukcjami zabytków, głównie sztuki islamu.

Adam Andrzej Witusik

„Kara Mustafa pod Wiedniem. Źródła muzułmańskie do dziejów wyprawy wiedeńskiej 1683 roku”. Z tureckiego przełożył i opracował Zygmunt Abrahamowicz, s. 412, cena 75 zł.

# oko- lice sztu- -ki

## Koszczyk - Witkiewicz

**K**TO zbudował „Chatkę” Żeromskiego w Nałęczowie, łaźnię i dom Potworowskich w Kazimierzu? Witkiewicz. A kim był Witkiewicz? Malarzem, dramaturgiem, pono narkomanem?!

Pomieszał się ród Witkiewiczów w potocznej świadomości, myślą ludzkie ojca z synem, stryja z bratankiem, architekturę z malarstwem, pozytywizm z socjalizmem. Trudno się przecież dziwić, że Jan Koszczyk — Witkiewicz jakby przepadł w tej rodzinnej konkurencji. Nie ogłaszał manifestów nowej sztuki, nie ozdabiał portretów zapisem tajemniczych wzorów, nie brylował towarzysko. On po prostu ciężko pracował, cierpliwie dłużył w zabytkach, budował domy w stylu stryja i własnym, siedział w więzieniach carskich, współdziałał z lewicą. Więc nie doczekał się dotąd monografii. Przypomnijmy zatem nieco faktów.

Witkiewicz urodził się 16 marca 1881 roku w majątku Urdomin na Suwalszczyźnie. W szkole średniej w Mińsku i podczas studiów inżyniersko-budowlanych w Warszawie i Lwowie zbliżył się do lewicy. Oczywiście, trafił do Cytadeli. Dyplom architekta otrzymał w politechnice monarchistycznej w 1904 roku. Dużo podróżował.

W latach 1904—1905 często przebywał w Zakopanem. Jest to ważny okres w biografii Jana Koszczyka, jako że znakomity stryj Stanisław zaprosił młodego architekta do budowy domów w „stylu

zakopiańskim”, m.in. „Witkiewiczówką” na Bystrem. Przypadła do gustu Koszczykowi ta na polu ludowa architektura, zdawała się odpowiadać jego ogólniejszym poglądom.

Oto w 1905 roku zaraz po powrocie na stałe do kraju, Witkiewicz wziął udział w organizowaniu „Związku Ludowego” i zaczął współpracować z wydziałem chłopskim PPS. Niedługo potem znów został aresztowany i osadzony na Pawlaku — cudem uniknął sądu wojennego. Zwolniony z więzienia w 1907 roku, nieobrotownie udał się pod troskliwą opiekę tandarmerii.

W tych latach poznał Żeromskiego. Architekt i pisarz pozostawali w bardzo przyjaznych stosunkach, łączyło ich głębokie zainteresowanie pracą dla ludu. W 1905 roku Witkiewicz wniósł dla Żeromskiego „Chatkę”, a w 1906 — przedszkole zwane „Ochronką”. Dostarczył mu też dokładny opis wieży ariańskiej w Wojciechowie, wykorzystany później przez pisarza w jednej z powieści. Natomiast Żeromski wprowadził architekta do „Walki z Szatanem” — pod postacią Nienaszkiego. Etymologia tego literackiego nazwiska jest zresztą dość zabawna: dialekt „Nie-na-ski”, bo na „wicz” kończyło się nazwisko „konserwatora — projektanta”, jak sam siebie określał Witkiewicz.

Za coraz popularniejszym architektem przepadała policja. Po wybuchu I wojny światowej aresztowano go w 1915 roku, wywieziono do Moskwy i zamknięto w sobacznej pamięci Butyrkach. Wyszedł jednak z tury dość szybko — za kaucją — i osiedlił się w Mińsku Litewskim, gdzie natychmiast zorganizował oddział Towarzystwa Opleki nad Zabytkami Przeszłości, do którego należał od 1907 roku, i zaczął prowadzić szkołę rzemieślniczą.

Do kraju wrócił w 1918 roku, gdzie za raz założył Szkołę Rzemiosł Budowlanych w Nałęczowie. Rychło jednak przeniósł instytucję do Kazimierza, prowadząc ją bodaj do 1922 roku. Z miastem kamienie Przybyłowskich nie tracił zresztą kontaktu przez całe dwudziestolecie międzywojenne i później, po wyzwoleniu, choć tutaj nie mieszkał. Wniósł sporo okazałych gmachów publicznych w różnych miastach Polski, wyjątkowo czynnie troszczył się o zabytki, pracując m. in. w Ministerstwie Kultury i Sztuki.

Zmarł w 1958 roku jako człowiek wielce szanowany i zasłużony, uhonorowany wieloma wysokimi odznaczeniami państwowymi. Ci, co go znali, mówią, że był zdumiewająco skromny, byle studentem historii sztuki, nawet gdy na nogach miała „oficerki”, traktował po partnersku.

IJK

## Sennik egipski

- 42 -

- Wiewiórka — zwodnicze nadzieje
- Wlezać się — nieprzyjemność
- Więzienie widzieć — niebezpieczeństwo
- Więzienie — być w nim — upokorzenie
- Wieża — duże aspiracje, spekulacja
- Wieża wałca się — nieszczęście
- Wilgoć — choroba
- Wilki — ubiegają cię w interesach
- Willa — spełnione nadzieje, wypoczynek
- Wino pić — zdrada
- Wino rozlać — zmarnowane szczęście
- Winogrona widzieć — osiągnięcie celu
- Wiolenczelę słyszeć lub grać na niej — smutek
- Wióry — dowiesz się o śmierci znajomego
- Wiosła — życie twoje płynie gładko
- Wiosłować — wytrwałość w dążeniach
- Wiosna — miłość
- Wisielec — powodzenie w interesach
- Wiśnie — kłótnia przez zazdrość
- Wiśnia kwitnąca — szczęście w miłości
- Wizyta — niepotrzebne troski
- Włókno — zmiana pracy
- Włosy rozczochrane — kłopoty, zmartwienia
- Włosy uczesane — serdeczna przyjaźń
- Włosy wypadające — zgryzoty
- Włosy ostrzyć — zmartwienie, choroba
- Wnuk — radość w domu
- Woda gorąca, gotująca — kłótnia
- Wódka — patrz alkohol
- Wodociąg — zyski
- Wodospad — dużo krzyku o nic
- Wojna — nieszczęście w rodzinie
- Wojna — iść na nią — zatarg z władzą
- Wojsko — iść do wojska — niespodziewane zajęcie
- Wołanym być — ostrzeżenie, wyrzuty sumienia
- Wołać kogoś — nowiny

- Woly przy pracy — spokój, szczęście w domu
- Woly tłuste — dobrobyt
- Woly chude — bieda, niedostatek
- Worek napelnlony — korzyści materialne
- Worek pusty — niedostatek
- Worek dziurawy — strata w majątku
- Wosk — dobra żona lub mąż
- Wóz bez koni — brak wytrwałości
- Wóz przewrócony — straty
- Wozem jechać — wszystko pójdzie gładko
- Wóz ciężarowy z kołmi — dobre interesy
- Wózek dziecięcy — szczęście domowego ogniska
- Woźnica — patrz furman
- Wróble — kłótnia, gniew
- Wróble ewierkające — plotki
- Wrony — krakanie słyszeć — nieszczęście
- Wróżba — fałszywe złe rady
- Wrzód — kłopoty, przykrości
- Wrzos kwitnący — radość, miłość
- Wrzos zeschły — niespełnione nadzieje
- Wstążka — przyjaźń, zabawa, zaręczyny
- Wszy — pieniądze
- Wstydzicie się — otrzymasz pochwałę
- Wuj — radość rodzinna
- Wulkan — zmiany w życiu
- Wybrzeże — tęsknota
- Wycieczka — przygoda jakaś cię czeka
- Wygnanie — zmiana w ustosunkowaniu się do ciebie
- Wygrana — nie osiągniesz celu
- Wymiotować — zdradzisz tajemnicę
- Wyplątę otrzymać — niezadowolenie
- Wyprowadzać się — kłopoty
- Wydzielić — poważne straty
- Wypręgać konie — zwrot w interesach
- Wyrok — poniesiesz szkodę
- Wyrzuty sumienia — spokój ducha

Uwaga Czytelnicy: na tym musimy sennik zakończyć. Egzemplarz, który posiadamy, nie ma ostatnich karetek. Może ktoś sennik uzupełni?

(Red.)

# KULTURA 1975

## EKRAN

Na koszalińskiej imprezie „Młodzi i film” nie pokazano zbyt wiele filmów o tematyce młodzieżowej, nakręconych przez młodych reżyserów z udziałem młodych aktorów. Po prostu takich filmów prawie nie ma, zresztą można dyskutować, czy w ogóle być powinny. Także bardzo dyskutowaną decyzją było powołanie jury, liczącego aż pięćset osób, a złożonego z dziennikarzy, reżyserów, aktorów, pedagogów i młodzieży. Jury nagrodziło „Zapła zbrodni” Andrzeja Trzaska-Rastawickiego. Film niewątpliwie dobry, ale wątpliwe, czy to właściwa tematyka dla młodzieży.

Jak mamy Międzynarodowy Rok Kobiet, to kobiety wciąż coś organizują. We Francji odbyło się kolokwium na temat „Kobieta a kino” z udziałem 30 pań zajmujących się zawodowo filmem, które przyjechały z 15 krajów. Aby rzecz nie odbywała się „po miesiąku” w sali, kolokwium zorganizowano w parku koło basenu. Okazało się m. in., że na 400 filmów wyprodukowanych w świecie, tylko 15 jest reżyserowanych przez kobiety.

Jeanne Moreau debiutuje jako scenarzystka, reżyser i aktorka w jednej osobie, nakręcając film „Światło” o życiu codziennym kilku rodzin. Złotłwiwi podkreślają, że w filmie na 16 ról żeńskich jest aż 27 męskich, co ma świadczyć o zachwianiu proporcji.

Zadebiutuje także w filmie znany pisarz Truman Capote — jako aktor w komedii-dreszczowca „Murder by Death”. Będzie grał właściciela eleganckiej posiadłości ziemskiej, który znanemu detektywowi zleca rozwiązanie tajem-

nicy morderstwa, popełnionego w tejże posiadłości.

## LITERATURA

Jurij Bondariew wydał nową powieść pt. „Brzeź”. Fabuła jest właściwie nuda, ale sens książki polega na przedstawieniu bezkompromisowej walki o zwycięstwo dobra i zachowanie ludzkiej godności, co nieraz — jak w powieści — wymaga śmierci bohatera.

Popularny w USA powieściopisarz Norman Mailer uważany wciąż jeszcze za niespełniony talent, wydał nową powieść — „The Fight”. Obszerny tom opisyuje drogi białego, z wielu nieznanymi szczegółami, słynną walkę o mistrzostwo świata w boksie pomiędzy Muhammadem Ali i Georgem Foremanem. Na równi z obu bokserami autor eksponuje samego siebie. Krytycy twierdzą, że powieść jest mierna, ale ze względu na temat będzie miała powodzenie. Przypomnieć warto, że Mailer jest autorem głośniejszej książki o Marilyn Monroe.

Znany reżyser filmowy Ella Kazan jest również powieściopisarzem, właśnie wydał czwartą książkę. Jest to historia wielkiej kariery i zgaśnięcia sławy gwiazdy filmowej z lat dwudziestych. Jedni krytycy twierdzą, że powieść „ujawnia raz jeszcze wielki talent pisarza i jego znajomość psychiki ludzkiej”. Inni piszą, że „jest to w gruncie rzeczy cytowanie plotek, skandali i pikantnych szczegółów z życia gwiazd teatru i filmu amerykańskiego”.

## MUZYKA

Za kilkanaście dni — 20 września — rozpocznie się XIX już „Warszawska Jesień”, mająca oficjalną nazwę Międzynarodowy Festiwal Muzyki Współczesnej. Przez

osiem dni wystąpią zespoły i soliści z wielu krajów europejskich, a także z USA i Brazylii. Mielomani więc usłyszą opery z 9 na 10 Poznania, orkiestry Filharmonii Narodowej i Polskiego Radia i Telewizji z Katowic, chóry z Krakowa, zespoły i chóry kameralne z Węgier, Brazylii, USA itd. Na ostatnim koncercie jednym z solistów będzie laureat VI Konkursu Chopinowskiego — Maurizio Pollini z Włoch.

Natomiast w Słupsku właśnie trwa IX Festiwal Pianistyki Polskiej. Program obejmuje 14 koncertów, w tym nowość — „Estradę Młodych”. To dla młodych talentów pianistycznych.

Okres to szczególnie owocny dla muzyki — we Wrocławiu kończy się X Festiwal Muzyki Oratoryjno-Kantatowej „Wratławia Cantans”. Wystąpiły obok zespołów i solistów polskich — zespoły i wokaliści z Włoch, NRD, Czechosłowacji i Grecji. Na zakończenie odbyła się sesja naukowa na temat „Muzyka oratoryjna i kantatowa w aspekcie praktyki wykonawczej”.

## OPINIE

„Kino stanęło wobec konieczności szukania różnego typu publiczności, a także produkowania „towaru” gdzie indziej niedostępnego. I tak na przykład gwałtowne wtrągnięcie do filmu seksu czy przemocy uznaje się za próbę konkurencyjności z telewizją... Te same i im podobne zależności sprawiły, iż powstało kino artystyczne, społeczna potrzeba zrodziła filmy publicystyczne, cały nurt krytyki obyczajowej, a także filmy-moralizaty”. (Kazimierz Żorawski, „Kultura” nr 34).

„Nie można balansować między zdradą a pigułkami, między żądzą pieniędzy a możliwościami, między szczęściem dziecka a lekceważeniem meza”. (Zofia Bystrzycka, „Zwierzciadło” nr 34).

„Owieczny dylemat — natura czy kultura — jawi się w Bieszczadach z całą jaskrawością. Natura to tutaj góry, lasy i woda, kultura to drogi, światło i książki. Ale czy istotnie muszą to być dwie rzeczy sprzeczne? Czy jeszcze nie potrafimy złączyć tego, co zbudowaliśmy z tym, co zastaliśmy przychodząc na tę ziemię?” (Andrzej Potocki, „Tygodnik Kulturalny” nr 34).

## PERSONALNE

W moskiewskiej Galerii Treliawskiej wystawiono portret pięknej kobiety, Polki, hrabiny Katarzyny Sirojnowskiej. Zdaniem puskiniologów ona była pierwowzorem Tatiany Lariny z „Eugeniusza Oniegiem” i właśnie jej poświęcił Puskin wiele strof w poemacie „Domek w Kolomnie”. Znal ją zresztą przelotnie, ale jej uroda oraz nieszczęśliwe życie wywarły na niego duży wpływ. Po nieudanych narzeczeniach wyszła za mąż za 40 lat od niej starszego hrabiego Sirojnowskiego.

## POMNIKI

Bardzo oryginalne groby sprzed 300 lat odkryli archeolodzy we wsi Kozia Góra w woj. bydgoskim. Są to duże szczyty z kamienia, kryjące popielnicę. W urnach układano kości w — jeżeli tak można powiedzieć — porządku anatomicznym: na spód kości nog, na wierzchu czaszka. Cała popielnica to grub jednej rodziny. Urny kości są wymodelowane na kształt twarzy, z tym że uszy to jakby proste listwy z otworami na kolczyki albo łuszczyki. Urny męskie miały uszy normalne, czasem tylko rysunki owczej brzozy.

I znowu w pobliżu Warszawy, w dolinie rzeczki Utraty koło Pruszkowa, odkryto oymarki sprzed dwóch tysięcy lat. Obok kłkunastu pieców także kłocze żelazne, żukił hutniczy oraz bryły rudy darniowej. Nie wiadomo jednak, skąd ta ruda pochodziła.

Tylko nieliczni z wczasowiczów, przechadzający się w parku zdrojowym w Szczawnie, spostrzegają wśród krzewów róż rzeźbę psa. Jest to rzeźba w wielu miejscach uszkodzona, kilka fragmentów odłamano, wandalami wyrzucił na kamieniu różne napisy, nie zawsze nawet przyzwolite. Rzeźba przedstawia doga wielkości naturalnej z obrozą na szyi. Skąd ta rzeźba? W połowie XV wieku mieszkający w Brzegu książę piastowski Jerzy II miał ulubionego doga. Gdy raz wracał z dłuższej podróży, pies — aby prędzej dotknąć swego pana — skoczył z krzątanek na podwórzu i zabił się. Na polecenie księcia nadworny artysta Michał Kramer wykonał rzeźbę te-

go psa, którą ostatecznie przed prasą stu laty zakupił lekarski zdrojowy w Szczawnie — 26 August Zemplin.

## TELEWIZJA

U siebie w domu narzekamy na naszą telewizję, najgorszą zresztą służbę. Z drugiej jednak strony nasze filmy telewizyjne wyszły już sobie dobrą marką w świecie. Przede wszystkim za sprawą „Poitełu” czyli Telewizyjnej Wytwórni Filmowej. W roku bieżącym dzięki niej braliśmy już udział w 30 międzynarodowych festiwalach, a weźmiemy jeszcze w 19. Ale były to nie tylko „szczyty”. W Hollywood „Professor na drodze” w kategorii dramatów zdobył drugą nagrodę, w Montreux (Szwajcaria) „Lanie” otrzymały nagrodę specjalną, „Pierwsza miłość” jedną z głównych nagród w Oberhausen, w Tokio honorowe wyróżnienie przyznano filmowi dziecięcemu „Szczekający talerz”. „Uszczelka” w Pradze zdobyła nagrodę za reżyserię i do tegoż zarządem dobra propaganda naszego kraju.

## LUBLINIANA

Po nakręceniu w Warszawie scen z Powstania, ekipa realizatorów filmu „Komuniści” przez 3 dni filmowała sceny w Lublinie. Utrudniało to znacznie normalne życie miasta, ale nikt specjalnie nie narzekał. Film reżyseruje Jurij Ozierow, twórca pamiętnego cyklu „Wyzwolenie” w koprodukcji z wytwórniami siedmiu państw socjalistycznych. Film pokazuje wydarzenia historyczne od bitwy pod Stalingradem po wyzwanie Pragi w dniu 9 maja 1945 roku. Zobaczymy m. in. postać B. Bieruta, M. Fornalskiej, P. Pindera, Wł. Sikorskiego, T. Bór-Komorowskiego.

Przez dwa tygodnie w studniach koni w Janowie Podlaskim trwał plener malarski, w którym udział wzięło 30 artystów z Lublina, Warszawy, Krakowa, Szczecina i Łodzi. Całość prac zakupiono do powstającej galerii malarstwa współczesnego w Białej Podlaskiej. Wystawa będzie czynna w Janowie podczas międzynarodowej aukcji koni arabskich.

# noty i notki

Handel głosi wszem wobec, że ja jestem jednym z jego panów. Ale moja „pańskość” jest z miejsca bardzo ograniczona. Przynajmniej w sklepie spożywczym przy ul. Róży Luksemburg 35. Witają mnie tam następujące wywieszki: „Samoobsługa! Weź koszyk”, trzy — w różnych kolorach — „Prosimy o pobieranie koszyczków”, „Bez koszyczka nie obsłużymy”, „Sklep bierze udział w konkursie Higieny na co dzień”, „Polecamy szampan serwatkowy Serwowit”, dwa razy „Stop! Weź czek kasowy”, „Nietrzeźwym i małoletnim alkoholu nie sprzedajemy”, „Sklep przyjmuje butelki kucjonowane po 3 zł wyłącznie na wymianę”, „Pieczywo dotknięte uważamy za sprzedane”, „Po odejściu od kasy reklamacji nie uwzględniamy”, „Sklep prowadzi sprzedaż pozarynkową”, „Prosimy nie palić papierosów”, „Inwalidzi i kobiety ciężarne załatwiają się poza kolejnością”, „Zwrot kaucji na butelki w kolejce”, „Sprzedaż mleka do godz. 10”, „Lody”, „Samoobsługa — weź koszyk”. Ponadto informacje, kto jest kierownikiem sklepu, kto obsługuje, gdzie dyrektor przyjmuje skargi, że tam wisiał książka skarg i zażaleń, tu wejście wzbronione, tu wejście normalne (ale zamknięte na dwie klódki), lecz wchodzić trzeba wyjątkiem i że „Zapraszamy w godz. 6—20”. Uf — dajemy się zwariować.

Z niejakim zdziwieniem czytałem w lubelskiej prasie ogłoszenie spółdzielni szklarzy, która — powołując się na zarządzenie prezydenta miasta — powiadomiła, że punkty szklarskie czynne są tylko w godzinach od 8 do 16. Znaczący fakt, że gdy mi się zbije jakaś szybka, będę musiał albo zwalniać się z pracy, albo oszukiwać szefa jakimś wymyślonym pilnym interesem na miesiąc.

Katowicka Spółdzielnia Usług Różnych przystąpiła do Lublina lunapark. Pomijając fakt, że ani umywa się on do tego, co można zobaczyć na Węgrzech lub w Rumuni, dziwi mnie jedno. Na afiszach reklamowych można było przeczytać, że jest to „lunapark nr 74”. Co się dzieje z poprzednimi siedemdziesięcioma trzema? Bo jeżeli

tylko jeden przyjeżdża do nas raz na dwa lata, to ktoś tu nie umie liczyć, albo po prostu błądzi.

Niemal w samym centrum Lubartowa Radzyńskie Przedsiębiorstwo Budowlane buduje, a raczej usiłuje budować budynek dla „Argedu”. Jak twierdzą miejscowi, inwestor i wykonawca znacznie więcej czasu spędzają na sporach w komisjach arbitrażowych, niż na placu budowy. Radzyńskie Przedsiębiorstwo Budowlane może się „pochwalić” jeszcze innym wyczynem. Zbudowany przez nie dom mieszkalny przy ul. Cichej 3 od frontu ma piękną, kolorową elewację, od tyłu brudno-szarą i to jednostajną, a ściany są w ogóle bez tynku i to od przeszło roku.

„Sztandar Ludu” w nr. 184 zamieścił bardzo obszerną informację — już drugą w okresie miesiąca — o breweriach seksuologicznych, dziejących się w paryskim Lasku Bułońskim. Tym razem pióra niejakiej Ewy Wiśniewskiej — mam nadzieję, że nie chodzi o znaną aktorkę. Chciałbym poinformować redakcję, że w ostatnim numerze tygodnika „Le Nouvel Observateur” — z którego poprzednio przedrukowano pierwszy artykuł, ukazał się obszerny materiał o filmach porno, wyświetlanych aktualnie w kinach francuskich. Jak już, to już...

Po telewizji „Prawo i życie” serwuje nam jeden serial po drugim. Po wieloodcinkowej sprawie mocno przedwojennej panny Ferencówny, która to sprawa poza dawno emerytowanymi prawnikami nikogo nie obchodziła, teraz jest „Wampir z Dusseldorfu”. Trudno chyba znaleźć pismo w Polsce, które na ten temat jeszcze nie pisało. Bo to niby „mocna rzecz”, ale mocno już podstarzała i wytłuszcza. Czy nie szkoda papieru, panowie prawnicy?

Swego czasu ulubieńcem tej rubryki był Jerzy Prutkowski, ale ostatnio był niesłusznie pomijany. Więc naprawiam błąd i spieszę donieść, że wyżej wymieniony przebywał w Londynie. Zdarza się. Ale co robił Prutkowski w Londynie? Napisał do „Sztolę” całozłoty „Donos z Londynu”, z którego można dowiedzieć się, że „szalał z emocji” na turniejach zapasów stylu catch as catch can, czyli gdzie, zgodnie z regulaminem, można przeciwnikowi dać w zęby, wylupić oko, złamać nogę lub kopnąć w tw. przyrodzenie. I w podtekście namawia Zjednoczone Przedsiębiorstwo Rozrywkowe, aby coś takiego organizowało w naszym kraju. Na pierwszą ofiarę proponuję pomysłodawcę.

# ekran i widz

## Vadim i „Bardotka”

PAMIĘTAM dobrze, że pierwszy raz zobaczyłem ją na ekranie w barwnej komedii — „Nieznajoma dziewczyna”. Grała paryską pensjonarkę, kapryśnego podlotka przekształcającego się właśnie w kobietę, która z wielkim zainteresowaniem i zapalem odkrywa urodę budzącego się seksu. Nie była to najlepsza rola Brigitte Bardot, ale film cieszył się w Polsce ogromnym powodzeniem ze względu na samą osobę aktorki. Wszyscy chcieli obejrzieć słynną „Bardotkę”, która — ledwie wylansowana spośród cover girlsów i statystek — stała się od razu wielką gwiazdą filmową, narzucającą światu na skalę dotąd nie spotykaną swój sposób bycia, styl ubierania się, swoją moralność.

Z Brigitte Bardot kojarzyła się od samego początku jej legendy postać Rogera Vadima. To on ją „odkrył”, on powierzył nieznaną aktorce główną rolę w swoim debiutanckim filmie „I Bóg stworzył kobietę” (1956 r.), on wreszcie ożenił się z Brigitte, rozpoczynając w ten sposób serię kolejnych małżeństw z lansowanymi przez siebie aktorkami. Tych dwoje ludzi zawiązuje sobie nawzajem bardzo wiele.

Prawdziwe nazwisko Rogera Vadima brzmi Plemiannikow, urodził się przed niespełną pięćdziesięcioma laty w Paryżu w rodzinie emigrantów rosyjskich, a karierę artystyczną rozpoczął jako aktor teatralny. Z filmem związał się początkowo jako asystent reżysera Marca Allegreta, był scenarzystą, realizatorem filmów telewizyjnych, miał się również dziennikarstwem, pracując przez pewien czas jako reporter „Paris Match”. Miał niewybitny talent do wyszukiwania „nowych twarzy” dla filmu.

„I Bóg stworzył kobietę” przyniósł Rogerowi Vadimowi światowy sukces. Młody, debiutujący reżyser zadziwił szczerością i bezpośredniością z jaką przedstawiał problemy nurtujące współczesne mu pokolenie mło-

dzieży, szokował ale i fascynował potężnym ładunkiem erotyzmu. Dopartywano się w Vadimie wielkiego talentu, stawiając jego nazwisko w orbicie nazwisk startującej właśnie francuskiej „nowej fali”. Ale już wkrótce krytyka zrozumiała swoją pomyłkę. Pisano teraz o Vadimie z przekąsem jako o „artyście dworskim”, a więc schlebającym smaczkom i gustom nie najciekawszej grupy społeczeństwa. I tak było istotnie.

O Vadimie więcej w Polsce słyszeć będziemy skandalicznych historii, niż widzieliśmy jego filmów. Najlepsze: „I Bóg stworzył kobietę” oraz „Odpocznik wojownika” oglądali chyba tylko nieliczni w klubach filmowych. Największym powodzeniem cieszyła się u nas erotycznie-sciencje-fikcyjna „Barbarella” z Jane Fondą w roli głównej.

Tymczasem Brigitte Bardot, owe „wcielenie seksu”, królowała na ekranach, angażowana do filmów przez największe sławy reżyserkie (ale nie gardząc i scenariuszami bardzo późnego gatunku), stanowiąc przez pewien czas „francuski artykuł eksportowy nr 1” — jak wyraził się jeden z prezydentów. Było w tym czasie w jej życiu wielu mężczyzn, wiele skandali, a od pewnego czasu coraz częściej powtarzające się oświadczenia, że postanowiła ostatecznie zerwać z filmem.

Z filmem, jak dotąd, „Bardotka” nie potrafiła zerwać. Zabrakło jej też, niestety, talentu, żeby wejść na ekranie w role kobiet dojrzałych, a wciąż fascynujących, jak np. Michele Morgan czy Sophia Loren.

W idącym właśnie na ekranie kin „Kosmos” filmie „Gdyby don Juan był kobietą” znowu spotkali się po latach Vadim i Brigitte Bardot. Film obliczony na jak największą kasowość: historia don Juana w „damskim” wcieleniu, no i oczywiście dużo nagości, cokolwiek perwersyjnej, trochę zbroczeń. A mimo to z filmu Vadima wieje nudą, oklepane pomysły reżyserkie idą w zawody ze złym smakiem. Brigitte — naga jak zwykle. Ale to już nie ta „Bardotka” z „Paryżanki”, „Prawdy”, „Pogardy”, „Babette idzie na wojnę”. Naprawdę zachwyca się Jane Birkin, grająca tutaj podrzędną rolę. I jest coś przewrotnego w fakcie, że Vadim, kreując w swoim pierwszym filmie Brigitte Bardot na uosobienie kobiecego seksu, stara się po dwudziestu latach w „Don Juanie” tego seksu ją pozabawić.



## Po upałach

**W**EDEN "z lepszych pomysłów dziennikarskich w Lublinie narodził się w tym roku w "Kurierze Lubelskim". Tak — z pełną poważnością "Kurier" wprowadził stałą rubrykę p.n. "Bank wczasowy". Poszczególne instytucje zgłaszały wolne miejsca w swych domach wypoczynkowych lub na campingach, często z gwarancją dowożenia na miejsce własnym transportem. Dawałem pod wskazane przez gazetę numery, aby się przekonać, jak ta akcja chwyciła. W pierwszej połowie sierpnia chętnych nie brakowało, ale w drugiej — z uwagi na wcześniejszy początek roku szkolnego w szkołach podstawowych — było już mniej amatorów. Wydaje się, że "Bank wczasowy" warto kontynuować i to nie tylko w miesiącach letnich. W przyszłości można by go rozszerzyć (były już takie próby) i na wyjazdy zagraniczne. Ktoś na przykład jedzie na Zachód i ma wolne miejsca w samochodzie. Wspólnymi siłami łatwiej opłacić benzynę; cztery razy po 130 dolarów to nie dwa razy po 130. Ale taki wyjazd musi być znacznie wcześniej zaplanowany (trzeba uprzednio postarać się o dewizy), no i na pewno lepiej poznać się przed wyjazdem, a nie dopiero w trakcie samej podróży.

Tegoroczne lato nie przeszedło słodko. Nadnatyckie plate były oblegane nie tylko przez polskich turystów. Sporo gości z NRD i krajów skandynawskich. I sporo rodzimych cwaniaków, którzy próbowali się szybko wzbogacić, sprzedając na plażach piwo i napoje chłodzące po astronomicznych cenach. Nasz upoleźniony handel ciągle w tym względzie kłopotliwie się egzaminuje. Aż dziw, dlaczego np. Bułgarzy umieją sobie dosko nale radzić, nawet w największe upały można tam w kioskach dostać coca-cola lub oranżadę z lodu(!), a dla nas jest to czarna magia.

Podkreślam z lodu, chociaż nie wszędzie są lodówki. Po prostu przywozi się lod w kawałkach, wkłada go wraz z butelkami do — w miarę szczelnych — pojemników. Jedną porcją wystarczy na kilka godzin. A u nas w Lublinie nawet renomowana "Powszechna" serwuje na stoł (po odpowiedniej cenie) piwo, które ma letnią temperaturę. Kelnerka beztrako odpowiada że "jeszcze nie zdążyło się ochłodzić, ale jak pić nie chce, to nie szkodzi". W tej samej "Powszechniej" otrzymałem też kiedyś letnią "coca-cola". Kelner wyjaśnił, że "lodówka się popsowała". W takich wypadkach należałoby wszystkich klientów z góry ostrzec, obniżając zarazem cenę. Kierownicy zakładów żywienia zbiorowego mają tu ponoć wiele do powiedzenia. Nie trudno jednak zauważyć, że wszyscy nastawiają się na uzyskanie jak największych zysków. Co tańsze dania są często wykreślone już z chwilą przygotowania do wydawania obiadów. Gastronomia to zresztą temat sam w sobie, warto będzie znowu potraktować go wszechstronnie i obszernie.

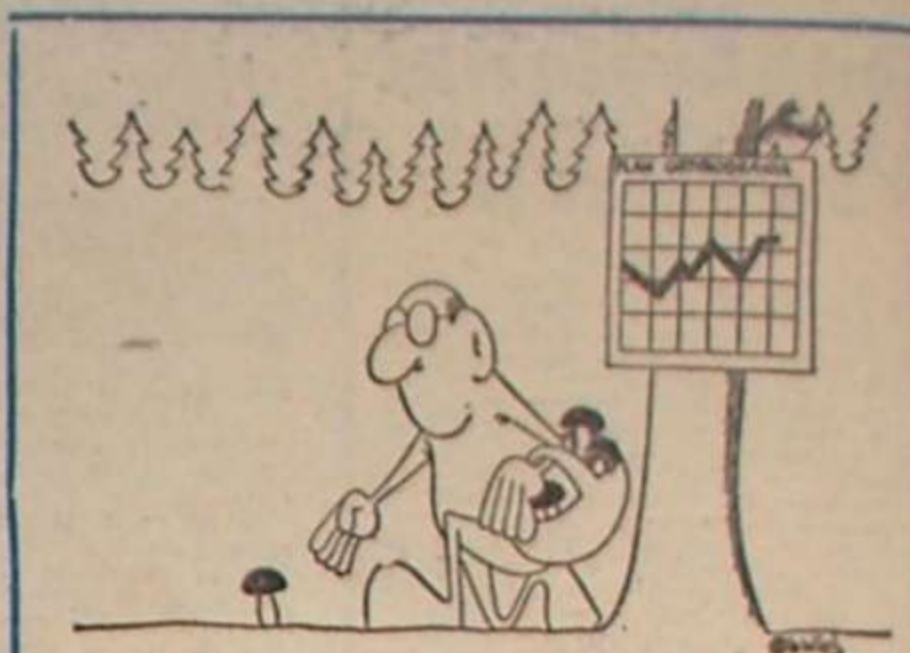
Lato w Lublinie przebiegło jak

zwykle, to znaczy na ogół bardzo nudnie. Teatr i operetka tradycyjnie zamknęły swe podwoje na kłódkę, pewnym wyjątkiem był Teatr Lalki i Aktora. Nieco poprawiło się nad Zalewem Zemborzycy, ale nie są to woda i chłód, a zys. Zresztą z napojami też bywały kłopoty. Zastanawiam się, czy doczekamy takiego momentu, gdy ktoś wreszcie ruszy głową i zacznie produkować kwas chlebowy? Jeszcze raz apeluję tutaj do samego prezydenta Bory: skorzystajmy z doświadczeń naszych przyjaciół zza Bugu. Tam kwas chlebowy idzie jak u nas piwo, a w dodatku jest znacznie tańszy. Ba! W sklepach sprzedają coś w rodzaju esencji kwasu, każdy może sobie przyrządzić kwas domowym sposobem. Sądzę, że w ramach kontaktów z Brześciem można by i w tym względzie coś niecoś podpatrzeć. Oczywiście, jeśli będą ku temu dobre chęci!

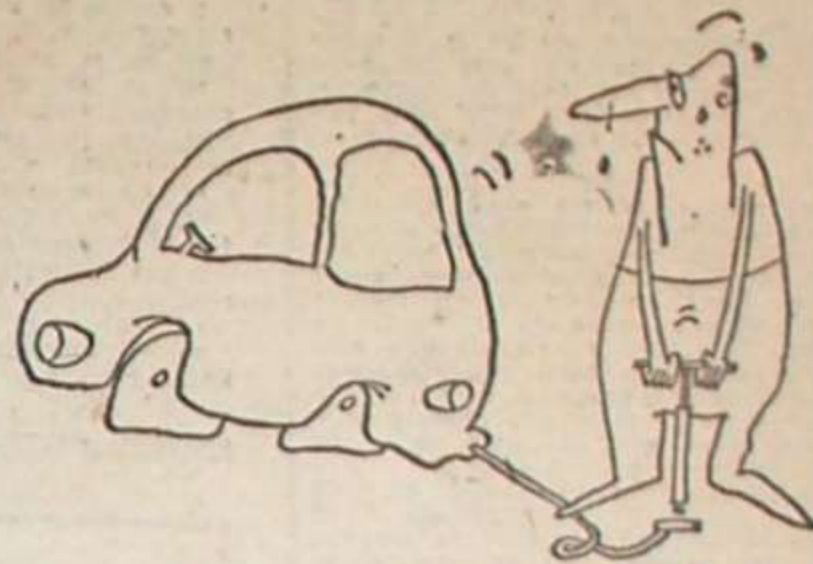
Przy okazji można by też zająć się i samym piwem. To, co się u nas sprzedaje jako "Piwo trybunalskie", woła o pomstę do nieba. "Zywe", "Okocim", "Piwo wrocławskie" o trzymają medale złote czy srebrne na międzynarodowych konkursach. Tak sobie myślę, jaka byłaby reakcja, gdyby szanowni jurorzy zapoznali się z drugim biegunem polskiej piwnej produkcji? Sądzę, że po prostu nie uwierzyliby, iż mogą istnieć takie kontrasty. Więc znowu nadzieja w... węglu. W ślad za ekspertami ze Śląska może przyjadą i eksperci z Zywca. Jest pomoc międzynarodowa, ale czasem przydałaby się i pomoc międzywojewódzka.

Tak sobie marzę, dalej urlepując.

MAJ



Rys. W. Fuglewicz



Rys. E. Ingłot



Rys. E. Ingłot



Rys. W. Fuglewicz

## minuta myślenia

### Nie zamykajmy tych drzwi

**C**O pewien czas wypada wolna sobota i jest to irralnym postanowieniem. Chyba jednak zasadę realizuje się w sposób niewłaściwy, skoro zamknięte są w tym dniu również domy kultury. Wprawdzie pracownicy domu mają prawo do skorzystania z wolnego dnia i nikt im tego nie kwestionuje, ale "kłódka na kulturze", jaka z tej racji zawisa, jest raczej nieporozumieniem. Mówi się i pisze o organizacji wolnego czasu jako sposobności do rozrywki, do zajęć umysłowych poszerzających spojrzenie na świat, nieraz zbyt jednokierunkowe przez charakter pracy zawodowej. Dlaczego wolna sobota jest z owych rozważań wyłączone? To nie jakieś kilka godzin przypadkowego luzu, to cały "boży dzień" tym bardziej sposobny do skorzystania z domu kultury, z klubu, skoro następuje po nim niedziela mogąca pomieścić już te całkiem bierne formy odpoczynku jak spacer, kino, pobyt na łonie rodzinnym. Pracownicy kultury powinni się — na odwrót — na tę sobotę rzucić z szaleem, by ją wykorzystać choćby dla statystyk frekwencji w prowadzonych przez siebie placówkach. Dzień wolny w ten sposób, że wolny od rozrywki? Ha! Kiedyś drzwi pewnej restauracji w Belżykach (nie powiem jakiej), mogły mnie zdemaskować i nigdy już tam nie zjem nawet surowego kartofla) zastawiam zamknięte, a na nich widniał napis: "Przerwa obiadowa".

Inna rzecz, że sposób korzystania z domów kultury przez publiczność musi wzbudzić w beznamiętnym obserwatorze niejako zastrzeżenia. Coś się zepsuło w porównaniu z niegdyśniejszymi śniegami. Wtedy chodziło się tam z ochotą, z określonym nastawieniem, z czymś w rodzaju na-

dział. Wprawdzie ta niedziela niejednokrotnie kończyła się rozczarowaniem, ale jest to stwierdzenie praktycznie nieprzydatne, ponieważ doprowadzone do postaci wniosku musiałoby spowodować skasowanie co najmniej trzech czwartych programu telewizyjnego. Dlaczego nie chodzi się tak dziś? Czy dlatego, że statystyczny obywatel PRL bardziej jest zajęty marzeniem o fiacie 126 P, kromadzeniem gotówki na jego kupno, albo zmianą w nim olejów i wypalonej świecy? Proponowałbym tu jakiś alert, czy wprost skoszarowanie socjometrów, którzy niechby wyjaśnili w czym przyczyna owego rozluźnienia nie najgorszych kłopotów: czy pracownicy kultury serwują kłopską potrawę i tym wywołali sceptycyzm w stosunku do produktów swej kuchni, czy ludzie dopingowani chęcią podniesienia o jeszcze jeden stopień swej prywatnej stopy życiowej odchodzą od nieprofitejących materialnie zajęć kulturalnych. A wystarczy, że powstanie jedno z tych zjawisk, by powstało i drugie. Uczenie: "sprzężenie zwrotne".

Wrzucmy teraz kamyczek do kawiarni. Nie zmieści się. Są tak zapchane, że przesiadująca tam publiczność zastępuje na najwyższym poziomie. Ciemno, duszno, gędziarsko. To już chyba jesteśmy przy szczytach masochizmu. Mój Boże. Kawiarnia rekwizytem dziewiętnastego wieku, jeszcze pierwszych dziesiątków naszego, meloniki na wieszakach, bilard i automaty z przepowiedniami, a tu raptem taki popyt na kawiarnie w czasach podboju kosmosu. Żeby to jeszcze na zasadzie "retra", które niedawno powstało i wnet odejdzie. Czym to wytłumaczyć? To jest ta organizacja wolnego czasu najodpowiedniejsza w warunkach dzisiejszego życia. Wyjaśnij to chyba jeden Stanisław Jerzy Lec.

Myślę, że dom kultury jako ten bufet z rozrywką, grą, prelekcją, recytacją, piosenka jest czymś nie do zastąpienia w panoramie naszego życia społecznego i żadne dyskusje o "koncepcji" czy "programie" nie podważą jego przydatności. Nawet ten wszystkiekolizm to znaczy nieokreśloność charakteru jest jego siłą, bo umożliwia namanewrowanie zajęć na rodzaj zapotrzebowania w danym środowisku. Ale kwestia, czy w tym

względnie zrobiono wszystko, a przynajmniej wystarczająco wiele. Jeśli są jakieś niedostatki frekwencji, to z pewnością można mówić o niewystarczającym sondażu gustów i zapotrzebowania, bo przecież często słyszy się o niakości, miakości, pustce form towarzysko-społecznych współżycia w danej zbiorowości. Czy nie wykorzystał tej pustki, by stała się sprzymierzeńcem? Ktoś, kto odczuwa pustkę, jest zainteresowany, by ją zapełnić. Okazja.

A oto przykład z własnego doświadczenia. Zaliczam się do posiadaczy szachowego bzika. Czuli bym się pełen winy, gdyby nie fakt, że wielu jest takich. Spotkawszy więc raz pokrewną duszę, a mając wraz ze spotkanym sporą chwilę wolnego czasu, namówiłem go na partyjkę szachów. Wydawało się — coś prostszego, tyle w Lublinie domów kultury... Chodziliśmy jak uparci patnicy. Albo drzwi zamknięte, albo szachów nie ma. Wreszcie w którymś z kolei znaleźliśmy. Wagonowe, o rozmiarach rozłożonego notesu. Więc jak? Szachy to taka wyspecjalizowana rzadkość, że tylko w drodze przypadku można w domu kultury otrzymać komplet do tej gry? Zgłaszam projekt i z góry zastrzegam sobie pamięć za jego powodzenie: ogłosić którzy z domów kultury miejscem, gdzie każdy chętny może przyjąć, znaleźć szachy względnie warcaby i partnera. Zaręczam, że ten dom będzie miał gości.

Może to śmieszne, ale ta dziedziną jest nieustannym poligonem wypróbowywania form. I nieustannie narazona na dobre rady publicystów. Dom kultury to prawie młody poeta: wiecznie dobrze się zapowiada. Ale to nawet prawidłowość, ponieważ zmienia się charakter odbioru. I przy puszczaniu będzie się zmieniał, co jest zjawiskiem związanym z inwazją problemów na naszą biedną współczesność. Placówka, która nie chce utracić kontaktu ze swolm środowiskiem, musi je permanentnie dreczyć. Nie koniecznie skończonymi koncepcjami, podają gotowych form, bo również pytaniami i zaproszeniami do dialogu. Gotowością do współpartnerstwa.

Tylko nie tyml drzwiami zamkniętymi w wolne soboty. Właśnie w te dni powinny być otwarte szerzej.

Ijon

# KOCI PAZUR

Ziemowit Samożyciek

(15)  
Do Szopola przyjechali po południu. W tym drugim etapie podróży taksówką, Barbara siedziała obok kierowcy, który chwilałmi bardziej zajmował się nią niż samochodem. Kiedy znaleźli się w miejscu, zarówno Halina jak i Michał odetchnęli z ulgą.  
Zatrzymali się w centrum miasteczka przy biurze "Balkanturist". Michał wszedł do środka i tutaj czarownicą dziesięcym, urzędnicą po drugiej stronie kontuaru uprzejmie poinformowała go, że niestety wszystkie kwatery są w tej chwili zajęte.  
— No to co mam robić? — zmartwił się Michał.  
— Może w Primorsku, albo w Miczurinie coś się znajdzie. W tym roku mamy wielu gości.  
Takiego obrotu "prawy Michał nie spodziewał się. Na szczęście taksówka jeszcze nie zwoziła, mógł dalej próbować szczęścia.  
Wyszedł na dwór i ze zdziwieniem zobaczył, że jakiś to średnim wieku mężczyzna rozmawia z Haliną.  
— Pomóż mi — zawołała. — Nie bardzo wiem, o co mu chodzi.  
Nieznanymy mówić dziwną mieszaniną bułgarskiego, czeskiego i polskiego. Ale kiedy Michał lepiej wsłuchał się w ten niby-język, okazało się, że jest całkowicie zrozumiały.  
— No i co, no i co? — dopytywała się Halina.

— Mówi, że ma duży pokój do wynajęcia. Właśnie wyjechali wczoraj. Akurat dla czterech osób.

— Czterech? A my jesteśmy przecież we trójkę! W "Balkanturist" niczego nie załatwisz?

— Nie. Wszystkie zajęte.

— Co ja z sobą zrobię? — Barbara miała taką minę, jakby za moment miała się rozpłakać. — Niech państwo wezmą mnie z sobą, ja potem poszukam jakiejś kwatery.

Halina nawet nie próbowała ukryć niezadowolenia, kiedy usłyszała słowa Michała:  
— Jakoś się urządzimy. Chodźmy obejrzeć ten pokój. Jestem piekielnie zmęczony.

Dom, do którego Bułgar zaprowadził gości z Polski, był już dość stary, ale znajdował się blisko morza. Nie wybrzydzał, bo innego wyboru nie mieli. Proponowany pokój mieścił się na pierwszym piętrze. Stały tu cztery maszyny łożka, wystużony stół i stara szafa.  
— Nie podoba mi się tutaj! — oświadczyła Halina.  
— Ja też jestem daleki od zachwytu, ale trzeba brać to, co jest. Ostatecznie będziemy tu tylko spać!

— Mając tę panią na karku... — dodała Halina cicho, tak że Barbara nie słyszała tych słów.  
— Daj spokój, nie przyjechalibyśmy tu w podróż poślubną!

— Przepraszam, czy państwo może mówić coś na mój temat? Ja naprawdę postaram się szybko wynieść, jutro czegoś poszukam, nie chcę nikogo kłopotować...  
— Barbara była, lub udawała, że jest zażenowana.  
— Bułgar wynajmował trzy pokoje. Na piętrze, w sąsiedztwie, mieszkało małżeństwo czeskie, a na dole, w małym pokoju zatrzymał się lekarz z Sofii. Już wieczorem poznaliśmy wszystkich.

Zwyczajem południowców życie koncentrowało się na małym przydomowym podwórku pod baldachimem z wiatrołł. Tutaj stał duży, drewniany stół i dwie ławki.

Przy stole szybko rozwirowały się języki. Szczególnie uroczym towarzyszem okazał się lekarz, brunet około czterdzielki, o niebieskich oczach. Jak stwierdził, te oczy stanowiły "spadek" po babce, która wywozila

się z Polski. Może to pokrewieństwo spowodowało, że lekarz szczególnie interesował się polską problematyką. Barbara koniecznie chciała się dowiedzieć, dlaczego sam spędza urlop. Z niedowierzaniem przyjęła odpowiedź, że jeszcze nie zdążył założyć rodziny.

— Wybieram się do Polski — oświadczył. — Może tam znajdzie odpowiednią żonę. Warto by znowu odwiedzić krew... — dodał żartem.

— I przeniosłby się pan na stałe do Polski? — spytała Halina.

— Kto wie? Chociaż człowiek zawsze najlepiej czuje się w tym kraju, w którym się urodził. A pan — zwrócił się do Barbary — mogłaby zamieszkać w tym kraju?

— Panie doktorze, czy mam to traktować jako propozycję? — odpowiedziała złośliwie pytaniem na pytanie.

Rozmowa nie przebiegała tak gładko, jak tu jest napisane. Michał występował w roli tłumacza. Lekarz znał biegle rosyjski, ale Barbara miała poważne kłopoty językowe. Ostatecznie wszyscy jakoś się dogadywali. Im zresztą bardziej pustą stawały się butelki, tym lepiej można się było wzajemnie porozumiewać.

...  
Po trzech dniach Barbara oświadczyła, że wyjeżdża z Szopola.

— Dokąd? — zapytał Michał.

— Bardziej na południe, do Miczurina.

— Ale dlaczego? Co się stało, że tak nagle zmieniła pani plany?

— Różnie w życiu bywa.

Michał nie dopytywał się o szczegóły. Ale wszystko stało się dla niego jasne, kiedy uszczerpem, gdy wócił z plaży, dowiedział się, że również i lekarz nie spodziewanie opuścił dom. Gospodarz nie ukrywał ironii, kiedy powiedział:

— Widać, jak się szybko dogadał!

Po następnych dwóch dniach Barbara jednę wóciła. Sama.

(con)